NR 12 (1936) 24 MARCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Fot. M. Zegliński

O Solidarności w sektorze kreatywnym

ISSN 0208-8045
12 INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- EUROPA POWINNA POMÓC USA
- SĄD OSTATECZNY ZŁOŻONY Z NASTOLATKÓW

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu



PREMIERA
NIEDZIELA
17:45
w Republice

PONIEDZIAŁEK
OD **9:00**

@Telewizja_Republika

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl e015cc267c



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Moja matka była włókniarką. W latach 90. potraktowali ją jak śmieć. Straciła pracę, straciła wszystko. Byłam wtedy dzieckiem. I wtedy postanowiłam, że ja nie pozwolę, żeby ktoś tak zrobił ze mną. Postanowiłam, że zostanę... aktorką – mniej więcej coś takiego mówi bohaterka popularnego dekadę temu serialu Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego „Artyści". Te słowa brzmią oczywiście gorzko. Ale też i śmiesznie. Bo film pokazujący od kuchni życie pracowników jednego z warszawskich teatrów to przecież oczywisty dowód, że w warunkach realnego kapitalizmu bycie aktorem/artystą nie daje absolutnie żadnej stabilizacji finansowej ani bezpieczeństwa ekonomicznego. Przeciwnie.

Mija ćwierć wieku, odkąd popularność święciły książki amerykańskiego popsocjologa Richarda Floridy. Zaproponował on w nich koncepcję „klasy kreatywnej". Było to określenie zawodów, które miały być siłą napędową nowych postindustrialnych społeczeństw gospodarek rozwiniętych. Owa klasa (lub sektor) kreatywna składać się miała z trzech zasadniczych grup. Superkreatywnego rdzenia, twórczych profesjonalistów i artystycznej bohemy. Wśród nich szukać należało – zdaniem Floridy – najbardziej atrakcyjnych zawodów przyszłości.

W praktyce realnego kapitalizmu z tą atrakcyjnością bywało i bywa różnie. Informatycy, ludzie mediów, filmowcy, graficy, artyści, coachowie i inni przedstawiciele klasy kreatywnej długo mogą opowiadać o ciemnej stronie swojej zawodowej egzystencji. O braku pewności zatrudnienia, pracy na akord, braniu roboty do domu, weekendowych szkoleniach albo nieobsługiwanych fakturach.

Jednocześnie klasa kreatywna to królestwo pracowników wykonujących swoje obowiązki albo w oderwaniu od grupy, albo za każdym razem w innym otoczeniu. To zaś sprawia, że oni sami rzadko w ogóle myślą o sobie jako o potencjalnym beneficjencie zbiorowej walki o swoje prawa pracownicze. Związek zawodowy pojawia się tu jako coś z zupełnie innej bajki. I to w najlepszym razie.

Niestety nieufność i stereotypy przełamuje się trudno. Klasa kreatywna przez cały okres III RP była kuszona biletem wstępu do świata zwycięzców współczesnego kapitalizmu. Powiadano im, że nawet jeśli teraz gonią w piętkę, to przecież już jutro (najdalej pojutrze) może przyjść ten dzień, w którym wszystko się zmieni. A że nie nadchodził, to detal. Oni mieli aspirować dalej. Ale także nie widzieć żadnej solidarności z resztą „niekreatywnych" pracujących Polaków. „Kreatywnym" wmawiano, że z tymi „tam na dole" nie łączy ich nic. Ani poglądy, ani estetyka, ani wybory polityczne, ani nawet interesy ekonomiczne.

Warto przypominać, że takie myślenie jest z gruntu błędne. Związki zawodowe mogą być bowiem użyteczne także dla nich. I na poziomie organizacji kształcenia. Ale także potem – w pracy zawodów kreatywnych. Na poziomie negocjacji zbiorowych z instytucjami, którym kreatywni sprzedają owoce swojej pracy. Czy na przykład w kontekście zabezpieczenia emerytalnego albo rentowego „kreatywnych" (a więc takich, którzy – najczęściej – mają z ciągłością składek wielki problem).

Solidarność jest dla wszystkich. Im szerzej będzie się ta wieść rozchodziła, tym więcej będą mogli zrobić razem polscy pracownicy.

Bo Solidarność jest dla wszystkich. Im szerzej będzie się ta wieść rozchodziła, tym więcej będą mogli zrobić razem polscy pracownicy. Nieważne, czy nazwiemy ich kreatywnymi, czy też jakkolwiek inaczej. S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl e015ce267c

24.03.2026
WYDANIE Nr
12

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Solidarni i „kreatywni”



6 **Kultura wysoka, pensja minimalna. Rozmowa z K. Winkler i J. Gogolewskim**

10 **Hodowla lewicowych talentów**

14 **Cała nauka idzie w piach**

18 **Klimat nie dla salonów. Rozmowa z A. Strzałkowskim**

KRAJ

Zemsta kontra ambicja 22

ZAGRANICA

Europa powinna pomóc USA w wojnie systemowej z Chinami. Rozmowa z K. Mroczkowskim 30

Sieć tkana przez dekady 34

SPOŁECZEŃSTWO

Fabryka pod różowym flamingiem 40

Falowanie i spadanie, czyli o dłuższych i krótszych karierach różnych trendów 46

KULTURA

Jestem orędowniczką codzienności. Rozmowa z M. Sabak 50

„Niezłomni, Niepokorni, Wyklęci”. Rozmowa z A. Garnik i J. Perłowskim 54

HISTORIA

Zesłaniec z królewską koroną w kieszeni 58

RELIGIA

Toksyczny Jezus z kompleksem Boga 62

ZWIĄZEK

Co w Związku 66

„Europa nie może pozostawać naiwna”. Rozmowa z J. Kirton-Darling 68

FELIETONY:

OKRASKA 25

PŁUŻAŃSKI 65

GAC 71

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 26

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 45

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 53

KARUZELA Z BLOGERAMI 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl e015ce267c

NSZZ Solidarność



Fundacja Promocji Solidarności

#idziemyPOwasOszuści

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

ŻĄDAMY:

- Zahamowania zwolnień grupowych
- Zaprzestania wypowiadania układów zbiorowych pracy i wygaszania praw pracowniczych
- Odrzucenia destrukcyjnej polityki klimatycznej (Zielony Ład, Fit For 55, ETS, ETS2)
- Wsparcia branż kluczowych dla bezpieczeństwa energetycznego i przemysłowego Polski
- Rozsądnego gospodarowania zasobami naturalnymi, prowadzenia sprawdzonej gospodarki leśnej
- Odpowiedzialnej polityki dotyczącej służby zdrowia z poszanowaniem praw pracowników oraz pacjentów
- Kompleksowej reformy edukacji i nauki, wstrzymania chaotycznych zmian w oświacie
- Niezwłocznej i realnej waloryzacji płac w sektorze finansów publicznych
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Przywrócenia i przyspieszenia kluczowych inwestycji strategicznych: CPK, elektrownie atomowe, sieci naftowe i gazowe, port w Świnoujściu, żeglowność Odry
- Wstrzymania wdrażania prawa uderzającego w bezpieczeństwo ekonomiczne polskich pracowników i ich rodzin
- Szybkiej rozbudowy polskiej armii z wykorzystaniem polskiego potencjału
- Ochrony polskiego rolnictwa przed skutkami umowy UE - Mercosur i UE - Ukraina
- Zabezpieczenia interesów polskich firm i bezpieczeństwa państwa polskiego po wojnie na Ukrainie

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia



– Nierozumienie mechanizmu funkcjonowania uczelni artystycznych przez kolejne rządy sprowadza na nie pogłębiającą się pauperyzację. Tymczasem polska kultura wysoka, ceniona w świecie, przynosi ogromne zyski budżetowe i buduje markę kraju. Pytanie: jak długo jeszcze – mówią działacze Solidarności **Katarzyna Winkler** z ASP w Łodzi i **Jakub Gogolewski** z łódzkiej „Filmówki” w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. M. Żegliński

KULTURA WYSOKA,

pensja minimalna

– Jako społeczeństwo żyjemy w przeświadczeniu, że szkoły artystyczne to ogromny prestiż, trudno się do nich dostać, a jak się ktoś dostanie, to są to najlepsze studia. Tymczasem z perspektywy pracownika tychże uczelni wcale tak to nie wygląda.

Jakub Gogolewski: – Zgadza się, tak naprawdę nikt nic o nas nie wie. Zarówno społeczeństwo, jak i – niestety – politycy nie mają świadomości, jak funkcjonują uczelnie artystyczne, z jak trudną sytuacją wynikającą ze specyfiki kształcenia i funkcjonowania muszą się mierzyć.

Katarzyna Winkler: – Na naszych uczelniach kształcenie na pewno jest bardzo indywidualne, ponieważ oprócz tego, że grupy są bardzo małe, to każdy student ma de facto indywidualną ścieżkę kształcenia. Tak jest na uczelniach – filmowej, teatralnych, plastycznych i muzycznych. Każdy ze studentów-twórców ma inny pogląd na to, co chciałby przekazać swoim dziełem. W tej drodze rozwijania oryginalnej twórczości musi go wspierać grupa ludzi. To wymaga nakładów pieniężnych, czasu, uwagi. To nie jest tak, jak w kształceniu uniwersyteckim, gdzie cała grupa musi wyuczyć się określonej partii materiału i potem zdawać z tego egzamin. To studia elitarne i my chcemy tę elitę kształcić.

J.G.: – To są studia elitarne i potrzeba takiego kształcenia spotkała się ze zrozumieniem, gdy byliśmy zaproszeni przez Narodową Radę Rozwoju, Radę ds. Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Innowacji przy prezydencie Andrzeju Dudzie. U nas w szkole filmowej na kierunkach artystycznych są grupy około dziesięcioosobowe, ponieważ opiekunowie filmów na poszczególnych rocznikach nie są w stanie ze wszystkimi pracować wspólnie. Wykłady oczywiście też się odbywają, ale ogromna część pracy jest pracą indywidualną ze studentem. Na uczelniach muzycznych pracy indywidualnej jest jeszcze więcej. Poza zajęciami z profesorem zaangażowanie studenta na uczelni artystycznej obejmuje bardzo dużo zajęć praktycznych, których koszty uczelnia też musi brać na siebie. Często nie są one nigdzie rozpoznane.

> KSZTAŁCIMY KADRY DLA BRANŻ KREATYWNYCH. PRZEMYSŁY KREATYWNE W 2021 R. W POLSCE, Z WPŁYWEM POŚREDNIM, ODPOWIADAŁY ZA OK. 3,58% PKB.

– Przecież kultura wysoka to budowanie marki kraju.

J.G.: – Jesteśmy nieraz postrzegani jako ci, którzy kształcą ludzi „wykonujących fikołki”, a my budujemy tożsamość i kulturę narodową. Przez 123 lata nie mieliśmy państwa, własnego wojska, ale przetrwaliśmy jako naród dzięki własnej kulturze wysokiej. Budowanie tożsamości narodowej, wzmacnianie jej, szczególnie dzisiaj, jest bardzo potrzebne. My kształcimy kadry dla branż kreatywnych, gier, filmów i seriali, muzyki i innych. Pieniądze z tego przynoszą ogromne wpływy do budżetu państwa. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego pt. „Rola przemysłów kreatywnych w gospodarce i możliwości wsparcia publicznego” przemysły kreatywne w 2021 r. w Polsce wytworzyły ponad 31 mld zł wartości bezpośredniej, a wraz z wpływem pośrednim odpowiadały za ok. 3,58% PKB i zostały uznane za kluczowy motor napędowy rozwoju.

K.W.: – Nasza sztuka piękna oraz użytkowa jest rozpoznawalna w świecie, mamy na bardzo wysokim poziomie wzornictwo, ceramikę, sztuki audiowizualne, plakat czy polski design.

– Wśród wielu bolączek uczelni artystycznych uderza brak dodatkowego finansowania dla szkół doktorskich.

K.W.: – My właśnie też nie wiemy, dlaczego tak jest, ale to ma wpływ na ciągłość kadr.

eprasa.pl e015ce267c

J.G.: – Istotna jest kategoria w ewaluacji, którą się uzyskuje w dyscyplinie naukowej, jeśli się nie ma A+, tylko niżej, to przysługuje mniej pieniędzy na poszczególne elementy, m.in. na szkoły doktorskie. Ale znowu tutaj nie bierze się pod uwagę uwarunkowań szczególnych uczelni artystycznych.

– A z czego wynikają problemy z podziałem subwencji?

J.G.: – Wychodzi na to, że wszystko jest przeciwko nam, ponieważ gros czynników przewidzianych w algorytmach, które się składają na subwencję, to czynniki ilościowe. My już tracimy na starcie ze względu na liczbę studentów, tak samo tracimy w kategorii dyscypliny naukowej, gdzie mechanizmy parametryzacji mają się nijak do rzeczywistości (jest nawet wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z dnia 1 grudnia 2023 r., sygn. akt VII SA/Wa 1622/23, w sprawie skargi PWSFTviT na decyzję Ministra Edukacji i Nauki nr 508/801/2022-1 z dnia 26 lutego 2023 r., w przedmiocie przyznania kategorii naukowej w dyscyplinie sztuki filmowe i teatralne) funkcjonowania naszych szkół, np. w ogóle nie liczą się festiwale filmowe, z których nasi studenci przywożą worki nagród. Kolejna sprawa to osiągnięcia artystyczne wykładowców. Teoretycznie wykładowca ma cztery lata na popularyzację swojej twórczości, co ma być jakimś ekwiwalentem punktowanej publikacji naukowej. Specyfika robienia filmów jest jednak inna, jako przykład podam Mariusza Wilczyńskiego, który nakręcił film animowany „Zabij to i wyjedź z tego miasta”. Film był wyświetlany na międzynarodowych festiwalach, jest świetny, autor jest twórcą wybitnym. Z punktu widzenia przepisów powinien być jednak zwolniony, ponieważ kręcił ten film kilkanaście lat.

– Rozdział obligacji skarbowych dla uczelni publicznych to forma dodatkowego finansowania nauki. Wasze uczelnie zostały pominięte. Dlaczego?

K.W.: – Zadaliśmy to samo pytanie i otrzymaliśmy odpowiedź, że minister nadzorujący nasze uczelnie nie wystąpił o obligacje, ponieważ nie widzi potrzeby naszego dofinansowania. Minister nauki nie przyznał nam tych obligacji, ponieważ nie wystąpił o nie minister kultury. I już.

PAŃSTWOWYCH UCZELNI ARTYSTYCZNYCH JEST 19 I ŁĄCZNIE ICH BUDŻET MOŻNA PORÓWNAĆ DO JEDNEGO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO.

– O finansowaniu szkolnictwa artystycznego decyduje ministerstwo kultury czy nauki?

K.W.: – To wygląda tak, że ministerstwo nauki przekazuje pieniądze na takie zapotrzebowanie, jakie wystosuje do niego ministerstwo kultury. W tym roku ministerstwo w komunikacie przewiduje podwyżki o 3% na podstawie pensji z 2024 roku.

J.G.: – Gdy minimalne wynagrodzenie za pracę rośnie, minister nauki musi podnieść minimalne wynagrodzenie profesora, ponieważ musi ono wynosić co najmniej dwukrotność minimalnego wynagrodzenia. W wyniku zmiany minimalnego wynagrodzenia profesora zmieniają się również minimalne wynagrodzenia wszystkich nauczycieli akademickich. Jeżeli nauczyciel akademicki zarabiał dotychczas minimalne wynagrodzenie na swoim stanowisku, to uczelnia musi podnieść tym nauczycielom wynagrodzenie. To powoduje, że dla innych pracowników uczelni nie starcza pieniędzy na podwyżki.

– Dużym wyzwaniem dla uczelni artystycznych jest utrzymywanie pracowników wsparcia dydaktyki. Studia w szkole filmowej czy plastycznej angażują całe sztaby ludzi, którzy nie są stricte nauczycielami akademickimi, ale bez nich trudno wyobrazić sobie prawidłowy cykl kształcenia.

J.G.: – W łódzkiej filmówce na 408 pracowników jest 86 osób, które można zaliczyć jako wsparcie dydaktyki. Nie mówię o administracji, księgowości itp. To są ludzie, którzy pracują przy filmach, realizacjach telewizyjnych i w teatrze. Wyspecjalizowani pracownicy z ogromnym doświadczeniem na minimalnej pensji. My utrzymujemy w zasadzie regularną wytwórnię filmową. Gdyby połączyć wszystkie nasze krótkie filmy, to wychodzi dziesięć pełnometrażowych filmów rocznie. A myślę, że nawet więcej.

K.W.: – W przypadku uczelni plastycznych to są wszystkie dodatkowe osoby, które muszą pokazać studentowi od podstaw proces tworzenia. To są technicy fotografii, biżuterii, włókiennicy pokazujący proces tworzenia tkaniny, w warsztatach krawieckich mamy konstruktorów ubioru, krawcowe. Ci ludzie pracują na pensji minimalnej, a mają często unikatowe umiejętności.

– Nie odczuwacie w związku z tym już luki pokoleniowej wśród kadry?

eprasa.pl e015ce267c

J.G.: – To zaczyna być problemem. W tej chwili możemy sobie pozwolić na przyjęcie do pracy wyłącznie ludzi bez żadnego doświadczenia. Jednak oni się uczą i odchodzą. Jedynym przymusem do podniesienia pracownikom wsparcia dydaktyki pensji jest podniesienie płacy minimalnej. Ale w tym modelu wzrost odczuwają tylko ci z najniższymi zarobkami, ci powyżej już nie, w związku z tym pensje się zrównują.

K.W.: – To szerszy kontekst, ponieważ mamy coraz większy problem ze szkołami zawodowymi i powoli zaczynamy to odczuwać. Brakuje nam fachowców. Nie ma krawcowych, szewców, jubilerów.

– Czyli z jednej strony jest kilka nazwisk sławnych filmowców czy artystów firmujących daną uczelnię, z drugiej – coraz dramatyczniej brakuje kadry średniego i niższego szczebla, by te uczelnie w ogóle funkcjonowały na należytym poziomie?

J.G.: – To samo zaczyna dotyczyć kadry naukowej, jeszcze to nie jest duża skala, ale już odczuwamy brak napływu nowych wykładowców. I to się będzie pogłębiało. Za chwilę będziemy przyjmować tego, kto będzie chciał zostać, a nie tego, kto się do tego naprawdę nadaje i kogo chcielibyśmy zatrzymać, bo jest wybitny.

K.W.: – Mamy problem z wynagrodzeniami asystentów, którzy kilka lat temu zarabiali o 5 zł powyżej minimalnej krajowej (stan z 2023 r.). Teraz jest trochę lepiej, tzn. wynagrodzenie asystenta jest o 19 zł wyższe niż minimalne wynagrodzenie za pracę. A asystent musi być magistrem.

– Jak wygląda dialog społeczny obecnego ministerstwa kultury z przedstawicielami szkół artystycznych?

K.W.: – W tym momencie nie rozmawiamy z ministerstwem, ponieważ nie ma nici, która by nas łączyła. Próbowaliśmy kilka razy i praktycznie nie ma żadnego odzewu. Jesteśmy odsyłani do naszych rektorów z informacją, że oni są bardziej adekwatni do rozmów z ministerstwem kultury niż my jako przedstawiciele wszystkich pracowników naszych uczelni.

J.G.: – Nie ma w tej chwili żadnego dialogu z ministerstwem. Zwracaliśmy się nawet specjalnie do podsekretarza stanu, który odpowiada za uczelnie artystyczne z prośbą, by nas w jakiś sposób uwzględniać w gremiach doradczych, ale nic z tego nie wyszło. Owszem, gdy mocno naciskamy, to ktoś się z nami spotyka, ale my nie widzimy w tym już za bardzo sensu, bo absolutnie nic z tego nie wynika.

– Jak można systemowo rozwiązać sprawę niskich pensji?

K.W.: – Pojawiła się propozycja, by wynagrodzenie profesora ustawić do średniej krajowej, by była to np. podwójna pensja, i od niej uzależnić procentowo wszystkie inne składowe na uczelni dla asystenta, adiunkta, pracowników wsparcia dydaktyki, pracowników administracyjnych. To rozwiązywałoby wszystkie problemy. Średnia krajowa to nie minimalna. Państwowych uczelni artystycznych jest 19 i łącznie ich budżet można porównać do jednego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W skali budżetu kraju to nie są wielkie pieniądze.

– Co się dzieje z tym pomysłem?

K.W.: – Ma być uwzględniony przy nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Czekamy na realizację, tyle tylko że to trwa już parę lat. Problemem jest też brak możliwości lub bardzo duże ograniczenie w pozyskiwaniu grantów. Większość z nich jest skonstruowanych stricte pod badania naukowe, nasi studenci zajmują się twórczością. Ponadto politechniki czy uczelnie medyczne mają wykwalifikowanych pracowników do obsługi tych grantów, my jesteśmy małymi uczelniami i na takich fachowców nas nie stać.

J.G.: – Obawiam się, że uczelnie w walce o przetrwanie będą zmuszone do tworzenia jakichś dziwnych kierunków, by liczba się zgadzała i zadowoliła algorytmy, tylko że wtedy straci na tym jakość kształcenia. Poza tym „nadprodukcja" kadr przesyci rynek pracy.

PROBLEMEM JEST OGRANICZENIE W POZYSKIWANIU GRANTÓW. WIĘKSZOŚĆ Z NICH JEST SKONSTRUOWANYCH STRICTE POD BADANIA NAUKOWE, NASI STUDENCI ZAJMUJĄ SIĘ TWÓRCZOŚCIĄ.

Katarzyna Winkler – pracownik Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi, przewodnicząca Komisji ds. Uczelni Artystycznych Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność".

Jakub Gogolewski – wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, działacz uczelnianej organizacji NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl e015ce267c

Hodowla lewicowych talentów



Moja Alma Mater to **warszawska ASP**. Jej najbardziej reprezentacyjną częścią jest Pałac Czapskich przy Krakowskim Przedmieściu 5. Tu mieszczą się: rektorat, sale wykładowe, Muzeum ASP, galeria Salon Akademii oraz (w piwnicy) kawiarnia-bar, kiedyś nazwana Eufemią na cześć najpopularniejszej akademickiej modelki, obecnie przemianowana na Elementy Polskie.

Monika Małkowska

Pałac Czapskich latami czekał na gruntowny remont, ale kasy starczało jedynie na randomowe „make-upy” fasady. Do całkowitej renowacji doszło stosunkowo niedawno – w 2017 r. ówczesny minister kultury i wicepremier Piotr Gliński podjął decyzję o przyznaniu dofinansowania ASP. Koszty modernizacji zakończonej w 2021 r. wyniosły 26 430 000 zł, w tym 17 288 000 było dofinansowane z UE. I teraz jest pięknie! Ale to nie jedyna miejscówka, którą dysponuje najstarsza w Polsce uczelnia plastyczna.

Kosztowne bogactwa ASP

Ten wielowydziałowy moloch ma swoje dobra w różnych dzielnicach miasta. Na Powiślu, przy Wybrzeżu Kościuszkowskim, w 2014 r. powstał kompleks złożony z nowoczesnej, przeszklonej konstrukcji, połączonej z najstarszą siedzibą uczelni, ufundowaną w 1914 r. przez Eugenię Kierbedziową. Jest jeszcze tuż przy Cmentarzu Powązkowskim zabytkowe domiszcze (z początku XX w.) przy Spokojnej 15 – lokalizacja przyznana ASP w 2005 r. Tamże dekadę temu wzniesiono nowoczesne pracownie Wydziału Rzeźby. Z kolei przy ul. Myśliwieckiej 8, w historycznych budynkach z lat 20. XX w., trwają obecnie prace nad termomodernizacją, na co do tej pory brakowało funduszy. I wisienka na tym torcie posiadłości: Dom Plenerowy w Dłużewie nad Świdrem. Klasycystyczny dwór otoczony wielkim parkiem, pozostałość po majątku rodziny Dłużewskich to kolejny historyczny obiekt przekazany stołecznej ASP jeszcze za PRL-u, w 1978 r.

Przepustka do elity

Obecnie na warszawskiej ASP studiuje ponad 1600 osób w trybie dziennym, stacjonarnym. Samo znalezienie się na liście studentów którejś z polskich Akademii Sztuk Pięknych uchodzi za przepustkę na Parnas. Są wśród nich tacy, którzy urodzili się i wychowywali w przeświadczeniu o swym „arystokratyzmie duchowym”, bo są drugim, czasem trzecim, pokoleniem artystów. Idą na uczelnie artystyczne, jako że

eprasa.pl e015ce267c



Pałac Czapskich

Fot. Adobe Stock

dla nich to droga na skróty do kariery, zwłaszcza gdy pomaga w niej znany środowiskowo (bądź ogólnopolsko) rodzic. Podobnie rzecz wygląda po dyplomie: synowie czy córki „ciał" profesorskich łatwiej dostają asystentury, następnie przechodzą przez kolejne szczeble dydaktycznej kariery. Jezu, jacy oni są utytułowani! Co drugi to doktor habilitowany, co trzeci profesor belwederski. Uśmiecham się (ze smutkiem), odnajdując wśród kadry stołecznej ASP nazwiska potomków znanych mi pedagogów. O, to już trzecie pokolenie! Wszyscy tak samo ustawieni, trzymający sztamę, walczący o apanaże i ekskluzywność. Tak, nepotyzm w sztukach wizualnych jest równie silny (i widoczny), jak dynastyczność wśród prawników czy lekarzy. Jeśli wśród tej „elity" trafiają się studenci, którzy nie wywodzą się z domów o twórczych tradycjach, tym bardziej czują się nobilitowani i... zobligowani. Są gotowi na każdym kroku wyprzeć się swej dawnej tożsamości, byle tylko nie odbiegać wyglądem, zachowaniem, a nade wszystko przekonaniami od artystycznej śmietanki, do której aspirują. Obecnie w środowisku sztuk wizualnych jest jeszcze jedna spójnia: poglądowa. Obowiązuje myśl liberalno-lewicowa, przemycana przez wykładowców bardziej lub mniej jawnie. W lewo patrz! Konserwatyści wykluczeni. Nienawiść do prawicy to również bilet wstępu na artystyczne salony.

Kto aspiruje

Studia na uczelniach plastycznych większości jawią się jako kapitalna, kolorowa przygoda. Mało materiałów do wkuwania, ot, trochę historii sztuki i język obcy, plus naprawdę bazowy kurs z filozofii, psychologii czy socjologii kultury. Resztę czasu można poświęcić na dawanie upustu kreatywności. Przez kilka lat żyje się w błogim poczuciu przynależności do „kulturalnej elity". Bywa się na wernisażach i eventach „must be", żeby poznawać kogo trzeba. Wypada wyróżniać się stylówką – a od zawsze wiadomo, że dziewczyny z ASP to najatrakcyjniejsze laski w mieście. Studentów uczelni plastycznych można z grubsza podzielić na dwie grupy: na przypadkowych i na takich, którzy naprawdę mają powołanie, dar Boży i bez względu na koszty psychiczne, zdrowotne, finansowe MUSZĄ dążyć do realizowania wizji. To margines studiującego masywu, wielkie talenty zawsze są rzadkością. Większość ma jakieś zdolności manualne i wystarczy. Co do sprawności umysłu, to na pewno ASP jej nie ćwiczy. Zajęcia nie są obciążające intelektualnie, za to czasochłonne: wypełniają cały dzień, od wczesnych godzin rannych po późne popołudnie, z godzinną przerwą na lunch. Osobna sprawa to zababienie artystycznych wydziałów. Z perspektywy historycznej – pokrzywdzone. Jeszcze w XIX wieku, a nawet do połowy kolejnego stulecia, miały pod górkę. Jednak w ostatnich dekadach sytuacja całkowicie uległa zmianie. Feministki skutecznie upominały się o rehabilitację uzdolnionych

eprasa.pl e015ce267c

„bab z pędzlem”, co zaowocowało wysypem pokazów, których bohaterkami są znane i zapoznane twórczynie. (Najbliższy przykład: do 3.05.2026 r. w MSN dostępne są dwie wystawy wokół babskiego tematu: „Kwestia kobieca. 1550–2025” oraz „Miasto kobiet”). Wracając na plastyczne uczelnie – nie wszyscy studiujący tam mają na siebie i swoją twórczość pomysł. Wielu z nich przyjechało z małych ośrodków i trochę nie wiedziało, gdzie zakotwiczyć. A cóż szkodzi postudiować sztukę... Stąd totalne sfeminizowanie uczelni o plastycznych profilach. Faceci na ogół bardziej praktycznie podchodzą do edukacji – ma zagwarantować im zawód i kasę. Jest jeszcze grupa zdezorientowanych płciowo – dziewczyny, które proszą, by zwracać się do nich w formie męskiej, lub odwrotnie – chłopcy czujący się panienkami. W szkołach artystycznych tych nienormatywnych jest sporo, tam czują sprzyjający klimat. Zresztą tradycyjnie artystyczny światek patrzy przychylnie na wszelkie transgresje.

Ćwiczenia oka i ręki

Kiedyś studia plastyczne były długie, aż sześcioletnie; potem skrócone zostały do lat pięciu. Nie była to nauka tania – materiały plastyczne kosztowały, nawet jeśli nabywało się je w wyspecjalizowanych, dotowanych miejscach – jak tzw. zaopatrzenie plastyków (do dziś funkcjonujące, lecz już bez ulg cenowych) czy sklepiki w akademiach, z wyrabianymi lokalnie farbami. Jednak dużo dawały same szkoły: płyty do grafiki, farby drukarskie, prasy. Można było wypożyczyć od uczelni aparat fotograficzny, kamerę, stół montażowy. Na zajęciach praktycznych pozowali modele opłacani przez szkołę, bo nauka rysowania/malowania człowieka, podobnie jak martwej natury czy wyjazdy na plenery i praca w naturze stanowiły trzon edukacji wizualnej. Tamte studia, podobnie jak w minionych epokach, uczyły warsztatu, ćwiczyły oko i rękę. Dawały umiejętności nieosiągalne dla innych, a to oznaczało – fach. W czasach PRL-u wybór takich studiów – o ile przeszło się przez sito egzaminów, a kandydatów zawsze było kilkanaście, nawet kilkadziesiąt razy więcej niż miejsc – gwarantował rozmaite prerogatywy. Najważniejsze: dla chłopaków zwolnienie z czynnej dwuletniej służby wojskowej; dla obydwu płci brak przymusu „odpracowania” nauki, czyli pójścia na etat we wskazanej odgórnie placówce. Co dają studia plastyczne TERAZ? Coraz więcej uczelni artystycznych w ogóle nie prowadzi zajęć praktycznych z rysunku, malarstwa, rzeźby. Słowem, nie uczy odwiecznych, niezbędnych podstaw ćwiczenia oka i ręki – bo i po co? Są przecież inne media. Można tańczyć, zamiast rysować, nakręcać film, prowadzić „społeczne” projekty. Wreszcie, o czym nie mówi się na plastycznych uczelniach głośno, nad wszystkimi wisi katastrofa w postaci AI. A wiecie, komu sztuczna inteligencja nie grozi? Konserwacji – najbardziej wymagającemu wielowymiarowej wiedzy kierunkowi kształcenia na ASP. Reszta twórczości ludzkiej jest do zastąpienia inteligentnym programem. To tylko kwestia czasu.

> NEPOTYZM W SZTUKACH WIZUALNYCH JEST RÓWNIE SILNY (I WIDOCZNY), JAK DYNASTYCZNOŚĆ WŚRÓD PRAWNIKÓW CZY LEKARZY.

Sztuka wszędzie dostępna

To co, zwijać żagle? Jakoś nie widać, żeby malała frekwencja na uczelniach artystycznych. Nawet przeciwnie, parcie na artystyczne kierunki zdaje się zwiększać. Do momentu transformacji w Polsce istniały ledwie dwie akademie sztuk pięknych – ekskluzywne i nobilitujące uczelnie, z których starszą była ta warszawska, zainagurowana w 1766 r. Po 1945 r. w Polsce powstało kilka uczelni o plastycznym profilu, lecz postrzegano je jako bardziej „rzemieślnicze” czy „użytkowe”. Nazywały się Wyższymi Szkołami Sztuk Plastycznych i choć zakres nauczania był zbliżony do ASP, miały niższy statut. Akademie miały/mają uprawnienia do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego w dziedzinie sztuk plastycznych. W latach 90. wszystkie WSSP zawalczyły o przekwalifikowanie. I oto dorobiliśmy się w Polsce aż ośmiu ASP, poza warszawską (istniejącą pod tą nazwą od 1816 r.) i krakowską (od 1818 r.): w Poznaniu (od 1919 r., po 1990 r. przekształcona w Uniwersytet), Łodzi i Gdańsku (od 1945 r.), Wrocławiu (od 1946 r.), w Katowicach (od 2001 r.), najnowsza ASP zaś ruszyła w Szczecinie w 2010 r. To jednak nie koniec. Komu marzy się wgryzanie w podstawy sztuki wizu, ma do dyspozycji jeszcze dziewięć Wydziałów Sztuk Plastycznych rozsianych po całym kraju na innych uczelniach – od Rzeszowa do Zielonej Góry; poprzez Radom, Kielce, Częstochowę, Lublin i Toruń. Do tego dochodzą jeszcze uczelnie niepubliczne, na czele z Polsko-Japońską Akademią Technik Komputerowych (w Warszawie

eprasa.pl e015ce267c

i Gdańsku). A mnie nurtuje pytanie: czy naprawdę potrzebujemy tylu artystów? I co robić z tymi rozczarowanymi, kiedy nie udaje im się przebić do peletonu? A przecież takich jest doskonała większość.

kraju są takie wydziały, kursy, katedry, gdzie sztuka jest niewidocznym dodatkiem. Na przykład na warszawskiej ASP działa Międzywydziałowa Katedra Kształcenia Teoretycznego. Co to takiego? Na oficjalnej stronie uczelni czytamy: „W 2022 roku do zespołu Katedry dołączyła istotna część teoretyków zatrudnionych wcześniej bezpośrednio na wydziałach artystycznych i projektowych. Katedra z założenia współpracuje z wykładowcami Wydziału Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich". Istnieje też coś zwane Instytutem Badań Przestrzeni Publicznej, która to instytucja powstała „w celu podjęcia wielowymiarowej i interdyscyplinarnej analizy szeroko rozumianej przestrzeni publicznej, a szczególnie przestrzeni miejskiej, ponieważ miasto generuje dzisiaj ruch w kulturze". Oprócz tego zaprasza do współpracy (nie za darmo) Instytut Sztuki Mediów im. Ryszarda Winiarskiego, który „wspiera i prowadzi działania w obszarze sztuki współczesnej i intermediów zgodnie z filozofią prof. Ryszarda Winiarskiego". Gdyby ktoś miał problem z wyborem wydziału na ASP w Warszawie, a nie miał żadnych specjalnych uzdolnień, radziłabym wybrać Wydział Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich. Oto fragment ich programu nauczania: „Nasze zajęcia dotyczą m.in. organizacji aktualnego życia artystycznego, w tym krytyki artystycznej, regulacji prawnych w zakresie prawa autorskiego i praktyk postartystycznych. Bardzo ważne jest dla nas to, żeby Studentki i Studenci mieli możliwość jak najszybciej zastosować wiedzę, którą nabyli podczas zajęć teoretycznych". Tu jako ciała pedagogiczne zatrudnione są gwiazdy. Wymieńmy najjaśniejsze: dr Jakub Banasiak, były internetowy „Krytykant", redaktor naczelny magazynu „Szum", autor książek, ostatnio „Proteuszowe czasy. Rozpad państwowego systemu sztuki 1982–1993". Marika Kuźmicz, wykładowczyni i dziekana nie tylko na ASP, także na Collegium Civitas, a od 2022 r. kuratorka badań dla Instytutu Susch założonego przez Grażynę Kulczyk. I ta najważniejsza – dr Katarzyna Kasia, filozofka, prowadząca zajęcia z historii filozofii i filozofii kultury z elementami antropologii. Takie kwiatki.

> OBECNIE W ŚRODOWISKU SZTUK WIZUALNYCH JEST JESZCZE JEDNA SPÓJNIA: POGLĄDOWA. OBOWIĄZUJE MYŚL LIBERALNO-LEWICOWA, PRZEMYCANA PRZEZ WYKŁADOWCÓW BARDZIEJ LUB MNIEJ JAWNIE.

Dodatki do pensji

A jak to wygląda od strony dydaktyków? Pensje pedagogów nie są rewaloryzowane zgodnie z inflacją, więc „ciała" biorą jak najwięcej dodatkowych zajęć, np. prowadzą otwarte kursy „Dorośli do sztuki" (40+), kursy rysunku i malarstwa, kursy wakacyjne w Pałacu Czapskich. Wszystko to są zajęcia ekstra płatne. Są też niestacjonarne Szkoły Doktorskie, odpłatne, lecz nie za bardzo wiadomo, za ile, bo koszty są indywidualnie ustalane przez ASP. Studia doktoranckie powinny trwać 3 lata (6 semestrów). Teoretycznie – dotyczą tylko ludzi legitymujących się tytułem magistra. Jednak ten wymóg niektórzy mogli ominąć i zdobywali tytuły doktora sztuk pięknych, mając ledwie matury, przeskakując cały wieloletni proces nauki. Wydarzyło się to ponad dekadę temu na Wydziale Sztuki Mediów, wywołało aferę, którą oczywiście zamieciono pod dywan. Coś podobnego jak szwindle z MBA na Collegium Humanum, tylko na mniejszą skalę. Na artystycznych studiach w całym

> CORAZ WIĘCEJ UCZELNI ARTYSTYCZNYCH W OGÓLE NIE PROWADZI ZAJĘĆ PRAKTYCZNYCH Z RYSUNKU, MALARSTWA, RZEŹBY.

eprasa.pl e015ce267c

Cała nauka idzie w piach

– Dostałem 31%, więc zrobiłem jedną trzecią z tego, co obiecałem. Chyba uczciwy rachunek! – mówił kilka miesięcy temu o stanie realizacji obietnic wyborczych premier Donald Tusk. Choć lewica od lat cieszyła się wyższym od przeciętnego poparciem wyborców z wykształceniem wyższym, w 2023 roku na jej listy głos oddało zaledwie 11,2% osób z wykształceniem licencjackim i wyższym, przy 8,61% w ogólnym głosowaniu. Lewica objęła w nowym rządzie Ministerstwo Nauki, czy jednak zrealizowała choć 11,2% swoich obietnic? **Nic na to nie wskazuje**.

Krzysztof Karnkowski



Włodzimierz Czarzasty i Dariusz Wieczorek

Fot. Zbyszek Kaczmarek / Forum

O Stowarzyszeniu Ordynacka najgłośniej było oczywiście w czasach afery Rywina. Związany ze stowarzyszeniem Włodzimierz Czarzasty, mając przez wiele lat duże wpływy w mediach publicznych, m.in. jako szef Rady Nadzorczej Polskiego Radia, a następnie sekretarz KRRiT, dbał o to, by ludzie z Ordynackiej robili kariery w radiu i TV. Dość wspomnieć, że do tego związku weteranów komunistycznych organizacji studenckich należeli między innymi były prezes TVP Robert Kwiatkowski czy wieloletni dziennikarz kierujący wieloma redakcjami (w tym przez pewien czas telewizyjną Jedynką) Sławomir Zieliński. W maju 2023 roku kolejnym prezesem stowarzyszenia został Dariusz Wieczorek i ten sam Dariusz Wieczorek w rządzie Donalda Tuska został jednym z trzech ministrów z ramienia Nowej Lewicy. Bardzo szybko okazało się, że również – najbardziej kłopotliwym.

Drugie życie Ordynackiej

Rok od powołania trzeciego gabinetu Donalda Tuska o dymisji Wieczorka mówili już niemal wszyscy, w styczniu 2025 roku rzeczywiście stracił on w końcu swoje stanowisko. Nie pomogło mu nawet to, że niemal do końca był bardzo mocno broniony przez Włodzimierza Czarzaste-

eprasa.pl e015ce267c



go. Przyczyn tej obrony upatrywać trzeba nie tylko w długiej znajomości, lecz również we współczesnych relacjach dwóch polityków, a także jego lojalności wobec rządu. „To właśnie Dariusz Wieczorek był głównym negocjatorem z ramienia Lewicy umowy koalicyjnej. To Wieczorek decydował o handlach, kto będzie ministrem, kto wiceministrem, kto, gdzie, co obejmie, kogo gdzie rzucimy. Skończyło się to oczywiście serią pretensji polityków Lewicy wobec Dariusza Wieczorka. Mówiono, że w ogóle nie zadbał o to, żeby w programie tego rządu znalazły się cele Lewicy, te obietnice Lewicy, które ona składała, idąc do wyborów. Mówiono też, że wyhandlował słabe ministerstwa, że w zasadzie dbał tylko o to, żeby Włodzimierz Czarzasty był wicemarszałkiem, a w przyszłości marszałkiem Sejmu, no i żeby on, Dariusz Wieczorek, był ministrem. A cała reszta go nie obchodziła". Mazurek zauważa, że Wieczorek nie należał do ministrów, którzy próbowali choćby wyszarpać więcej pieniędzy dla swojego resortu. Wręcz przeciwnie, nie dyskutował z Ministerstwem Finansów, co wpędzało jego własny resort w kolejne medialne nieprzyjemności, długo jednak zapewniało mu polityczny święty spokój. Jak wiemy, do czasu. Dariusza Wieczorka zastąpił Marcin Kulasek, olsztyński polityk Lewicy, o którym w mediach słychać rzadziej, choć i za jego rządów ministerstwo trafia czasem na łamy portali w niezbyt korzystnym kontekście. O tym jednak za chwilę, wróćmy do grudnia 2023 roku.

Nominacja Dariusza Wieczorka od początku traktowana była jako typowe polityczne dzielenie łupów. Nowy minister nie miał związków z nauką czy życiem akademickim. Inżynier elektryk ze studiami podyplomowymi z zarządzania turystyką i z prawa administracyjnego od początku III RP prowadził życie zawodowe typowe dla działacza partyjnego. PRL-owskie firmy turystyczne, a później przede wszystkim kariera partyjna, na początek w samorządzie i we władzach miasta w Szczecinie. Ten etap kariery o mało co nie skończył się dla przyszłego ministra nauki fatalnie. Wraz z grupą urzędników w 2007 roku skazany został na dwa lata więzienia w zawieszeniu na narażenie miasta na straty finansowe, został jednak uniewinniony w kolejnej instancji. Przez kilkanaście lat był radnym sejmiku wojewódzkiego, a po przerwie spowodowanej polityczną zapaścią całego SLD wrócił do Sejmu, a następnie

eprasa.pl e015ce267c

został wiceprzewodniczącym Nowej Lewicy, powstałej ze zjednoczenia SLD i Wiosny. Brak akademickiego doświadczenia został przez media zauważony, ale jako minister rządu Tuska dostał oczywiście kredyt zaufania. Szybko okazało się jednak, że wyniesione z Ordynackiej zwyczaje zaczynają przyjmować się w resorcie nauki.

ROK OD POWOŁANIA TRZECIEGO GABINETU DONALDA TUSKA O DYMISJI WIECZORKA MÓWILI JUŻ NIEMAL WSZYSCY.

Naukowcy ustępują politykom

W przeciwieństwie do większości prawicowych publicystów daleki jestem od idealizowania Sieci Badawczej Łukasiewicz. Stworzona przez ludzi Jarosława Gowina czapa nad instytutami naukowymi zaangażowała wielu cenionych naukowców, również rezygnujących dla pracy dla Polski z zagranicznych, obiecujących karier. Jednak na poziomie instytucji często łączyło się to z pozbywaniem się majątku i wtłaczaniem pracowników w neoliberalny, korporacyjny sposób działania i oszczędnościami kosztem ludzi i komfortu ich pracy. Jednak dopiero po zmianie rządów o Sieci Badawczej Łukasiewicz zaczęło być naprawdę głośno, na ogół ze względu na decyzje kadrowe. Wiosną 2024 roku nominowanego jeszcze przez Przemysława Czarnka Andrzeja Dybczyńskiego zastąpił dr Hubert Cichocki, nauczyciel akademicki z SGH i... wiceprezes mało znanej partii Centrum dla Polski, współtworzącej Koalicję Polską wraz z PSL. O Cichockim głośno stało się w związku z praktykami ujawnionymi przez Alicję Bachmatiuk. Bachmatiuk to wybitny naukowiec – zrezygnowała z pracy w Korei Południowej, kierowała instytutem PORT (Polskim Ośrodkiem Rozwoju Technologii) odpowiadającym za komercjalizację wyników. „Najpierw poproszono mnie o to, żebym powołała na swojego zastępcę do instytutu polityka Bartłomieja Ciążyńskiego. Prezes SBŁ dr Hubert Cichocki zaprosił mnie do Centrum Łukasiewicz i powiedział, że tu jest taki człowiek, który ma doświadczenia wdrożeniowe i legislacyjne. I on ma zostać moim zastępcą do spraw komercjalizacji” – opowiadała Bachmatiuk o kulisach zatrudnienia w instytucie polityka Lewicy, wcześniejszego wiceprezydenta Wrocławia i szefa klubu radnych Lewicy, a później, przez chwilę, również wiceministra sprawiedliwości. Cichocki wymusić miał zamknięcie prowadzonego na stanowisko konkursu i stwierdzić, że to on zajmuje się ich obsadzaniem. Następnie szefowa instytutu została zmuszona do zwolnienia 30 doświadczonych pracowników, równocześnie zaś Ciążyńskiemu przyznano pensję w wysokości 40 tysięcy złotych brutto. Gdy w kolejnym kroku Cichocki zapowiedział degradację Bachmatiuk i zastąpienie jej politycznym nominatem, ta odeszła z funkcji i zdecydowała się nagłośnić sprawę. Jednak poza oburzeniem wielu, również sprzyjających rządowi, mediów szef SBŁ nie poniósł żadnych konsekwencji. – To po prostu bardzo niesprawiedliwe. Nie tego się spodziewałam po zmianie władzy, myślałam, że będzie lepiej, a nie tak, jak jest. Mówię prawdę, w każdym sądzie to powiem. [...] Mam dwie propozycje pracy za granicą i skorzystam z jednej z nich. Po prostu wyjadę dokądś, gdzie zostanę bezstronnie zweryfikowana, nie pod kątem politycznym. Liczyć się będzie mój dorobek i potencjał, fakt, że coś dla nauki mogę jeszcze zrobić – komentowała sprawę rozgoryczona Bachmatiuk, zwracając uwagę, że jej sytuacja jest tylko jedną z wielu, a w całym kraju w Sieci Badawczej Łukasiewicz znajdują zatrudnienie na wysokich stanowiskach polityczni nominaci bez stosownych kompetencji. Bartłomiej Ciążyński przeszedł później do Ministerstwa Sprawiedliwości, z którego odszedł w atmosferze skandalu, gdy wyszło na jaw, że podczas wakacji płacił za paliwo wykorzystując służbową kartę.

POSŁANKA RAZEM MARCELINA ZAWISZA UJAWNIŁA LISTĘ PONAD 200 PROJEKTÓW BADAWCZYCH, KTÓRYM RESORT ODMÓWIŁ FINANSOWANIA.

Klątwa sygnalistki

Inną głośną sprawą były zmiany, jakie nowy szef resortu nauki przeprowadzał w ośrodku badawczo-rozwojowym IDEAS Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Twórca instytutu, prof. Piotr Sankowski w budzącej kontrowersje procedurze konkurso-

eprasa.pl e015ce267c

wej zastąpiony został przez posiadającego dużo mniejsze doświadczenie dr. Grzegorza Borowika. Efektem tej decyzji był bunt naukowców tworzących radę naukową IDEAS. Za polityczną decyzją rządu stały motywy finansowe, tyle że szalenie krótkowzroczne – Sankowskiego oskarżano o brak zysków z działań, które jako związane z badaniami nad sztuczną inteligencją są ze swej natury rozłożone w czasie. Instytut zaczął być traktowany po macoszemu, długo też nie mógł znaleźć nowej siedziby. Co więcej, nowy rząd zrezygnował z planów zaciągu kolejnych specjalistów do IDEAS i NASK. Smutną puentą do tego wątku niech będzie fakt, że niedawne testy polskiej sztucznej inteligencji wykazały, że porównania ze światowymi gigantami przegrywa ona nawet wtedy, gdy pytana jest o polskie zwyczaje bożonarodzeniowe. Sprawa Sankowskiego po medialnej burzy i całej serii chaotycznych działań i wypowiedzi resortu zakończyła się jego ponowną nominacją we wrześniu 2025 roku. Ostatecznie Wieczorka pogrążyła sprawa ujawnienia danych sygnalistki, która informowała o nieprawidłowościach na Uniwersytecie Szczecińskim. Pismo działaczki związkowej minister przekazał będącemu ich bohaterem rektorowi uczelni. Wirtualna Polska informowała wówczas, że uniwersytet na dobrze płatnym stanowisku zatrudnia żonę ministra, sprawa zaczęła więc być bardzo dla Wieczorka i rządu kłopotliwa. Jednak nawet po dymisji, do której ostatecznie doszło, Wieczorek kreował się na ofiarę spisku ludzi, którzy robili kariery w poprzednim politycznym rozdaniu. Refleksji nad własnym zachowaniem na pewno nie pomógł fakt, że w zeszłym roku teoretycznie skompromitowany były minister nauki wybrany został ponownie na szefa zachodniopomorskiego regionu Lewicy.

Biedanauka

Choć Lewica w programie wyborczym obiecywała wzrost nakładów na naukę, przez cały 2024 rok pojawiały się informacje o problemach z finansowaniem badań naukowych. Kłopoty z płynnością sygnalizowały NCBR, Łukasiewicz i PAN, przez wiele miesięcy nie funkcjonował też (jakoby z powodów czysto urzędowych) jedyny polski reaktor jądrowy Maria. Środków pozbawiona została stacja badawcza „Oceania", jedyna stacja zdolna do pracy poza Bałtykiem. Na problemy napotkali też polscy archeolodzy w Egipcie. Po wielu latach resort wstrzymał finansowanie będącego częścią międzynarodowych badań radioteleskopu w Toruniu. W październiku zeszłego roku posłanka Razem Marcelina Zawisza ujawniła listę ponad 200 projektów badawczych, którym resort kierowany przez Marcina Kulaska odmówił finansowania. „Na liście instytucji pozbawionych wsparcia znalazły się m.in. Politechnika Łódzka, Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach czy Uniwersytet Morski w Gdyni. Brak funduszy dotknął także specjalistyczne laboratoria i sprzęt, w tym pracownie hiperbaryczne, stanowiska radonowe i mikrotomografy komputerowe wraz ze skanerami 3D" – alarmowało wPolityce.pl. Oberwały nawet placówki z bliskiego ministrowi Olsztyna, natomiast 18 instytucji dostało równolegle 170 mln złotych, co według Zawiszy było przykładem nierównego traktowania instytucji naukowych przez państwo.

W swoim programie wyborczym Lewica obiecywała studentom „akademiki za złotówkę". Podczas jednego z wystąpień telewizyjnych zapytany o to Dariusz Wieczorek zaczął się śmiać, co zostało uznane za jeden z przykładów arogancji nowej władzy. Jednak o nauce i finansach najwięcej mówi nam chyba oferta pracy, o której głośno stało się w styczniu tego roku. Instytut Fizyki PAN poszukiwał kogoś, kto z doktoratem z fizyki, minimum czteroletnim doświadczeniem zawodowym i znajomością angielskiego zostanie asystentem w Zespole Mikroskopii Elektronowej w Środowiskowym Laboratorium Badań Rentgenowskich i Elektronomikroskopowych za 4806 złotych brutto. Marcin Kulasek tłumaczy, że to wina poprzedników i ich zaniedbań, a już w nowej kadencji podniesiono pensje pracownikom nauki. Jednak ogólny obraz, jaki ukazuje się naszym oczom, jest ponury. Rząd rezygnuje z kluczowych projektów, innym obcina dotacje, pozbywa się fachowców, a instytucje naukowe traktuje jak kolejny paśnik dla partyjnych działaczy. I tak za największym osiągnięciem naukowym nie stoją sami naukowcy, a politycy, którzy bez żadnej specjalnej maszyny dokonali niemożliwego – przeniesienia świata nauki kilkadziesiąt lat wstecz.

PISMO DZIAŁACZKI ZWIĄZKOWEJ MINISTER PRZEKAZAŁ BĘDĄCEMU ICH BOHATEREM REKTOROWI UCZELNI ZATRUDNIAJĄCEJ... ŻONĘ MINISTRA.

eprasa.pl e015ce267c

Klimat nie dla salonów

– Uważamy, że polityka klimatyczna może być sprawiedliwa i solidarna; taka, która sprawi, że słowo „klimat” będzie się ludziom kojarzyło pozytywnie, a nie z kolejnymi wyrzeczeniami, często na rzecz najbogatszych. Warunkiem jest jednak to, by nie była ona tworzona wyłącznie przez liberalne elity polityczne, czy to na warszawskich, czy brukselskich salonach – mówi **Andrzej Strzałkowski**, członek Ruchu Klimatycznego Jazda! i Ostatniego Pokolenia, w rozmowie z **Ludwikiem Pęziołem**.

– W narracji prawicowej często obecna jest teza, że organizacje proekologiczne są w istocie „pieszczoszkami systemu” i liberalnego establishmentu. Tymczasem Wy twierdzicie, że w rzeczywistości to skrajna prawica działa na rzecz tego systemu, mimo że sama chętnie przedstawia się jako antysystemowa.

– W naszej ocenie antysystemowość skrajnej prawicy jest iluzją. Warto przy tym pamiętać, że prawica nie jest jednorodna. Istnieje jej nurt, który określiłbym jako patriotyczny czy umiarkowany – w polskich warunkach często kojarzony z Prawem i Sprawiedliwością. W jego programie można znaleźć wiele postulatów prospołecznych. Inaczej wygląda to w przypadku środowisk określanych jako skrajna prawica, mam tu na myśli na przykład Konfederację czy środowisko Grzegorza Brauna. Uważamy, że są to w istocie środowiska liberalne lub wręcz neoliberalne. Pod płaszczykiem retoryki narodowej czy patriotycznej reprezentują one przede wszystkim interesy dużego kapitału i wielkich korporacji. Ich postulaty idą często jeszcze dalej niż program klasycznego liberalizmu, w stronę radykalnej deregulacji czy ograniczania zabezpieczeń społecznych.

Taka polityka uderza przede wszystkim w osoby mniej zamożne, w pracowników czy związki zawodowe. Dlatego mówimy o pewnym paradoksie: o ile prawica o charakterze prospołecznym nie cieszy się szczególną sympatią elit, o tyle ta prawica neoliberalna bywa przez nie bardzo chętnie wspierana. Widać to choćby w relacjach między wielkimi korporacjami a środowiskami politycznymi. Wystarczy spojrzeć na gigantów technologicznych, firmy takie jak Tesla i osoby stojące na ich czele. Bardzo łatwo wykorzystują one patriotyczną czy narodową symbolikę, aby w istocie realizować interesy ekonomiczne, które często stoją w sprzeczności z interesami większości społeczeństwa.

> JEŚLI PROSPOŁECZNA PRAWICA I PROSPOŁECZNA LEWICA BĘDĄ ZE SOBĄ WYŁĄCZNIE WALCZYĆ, WÓWCZAS WYGRAJĄ LIBERAŁOWIE DZIAŁAJĄCY NA RZECZ WIELKIEGO KAPITALU.

– A czy nie jest tak, że część organizacji proekologicznych otrzymuje pieniądze od liberalnego systemu i pełni funkcję swoistego „listka figowego” dla najbogatszych, i to tych samych, którzy w rzeczywistości przyczyniają się do degradacji środowiska?

– Nie mam wrażenia, żeby w Polsce istniał dziś poważny problem organizacji ekologicznych, które byłyby w istocie narzędziem wielkich korporacji czy działały w złej

eprasa.pl e015ce267c



Fot. arch. rozmówcy

wierze. Dostrzegam raczej inny problem: wiele organizacji działa zbyt ostrożnie i mogłoby znacznie bardziej radykalnie upominać się o kwestie klimatyczne, zwłaszcza z perspektywy interesów zwykłych ludzi, pracowników czy związków zawodowych.

Czasem może to wynikać z kwestii finansowania. Jeśli organizacja otrzymuje środki z instytucji państwowych czy prywatnych fundacji, naturalną konsekwencją może być pewne ograniczenie radykalizmu jej działań. W takiej sytuacji pojawia się pokusa, by nie wchodzić w zbyt ostry konflikt z systemem, który pośrednio finansuje działalność organizacji.

– Czy dostrzega Pan popularne dziś deklaratywnie „proekologiczne" praktyki wielkich przedsiębiorstw, które w rzeczywistości służą głównie poprawie wizerunku i zwiększaniu zysków, a nie realnej ochronie środowiska?

– Często nie chodzi o to, że dana firma promuje coś, co kompletnie nie ma żadnego wpływu na środowisko. Problem polega raczej na proporcjach. Często mamy do czynienia z sytuacją, w której korporacja czerpie ogromne zyski z działalności, która w oczywisty sposób niszczy środowisko i negatywnie oddziałuje społecznie, a jednocześnie nagłaśnia drobny, symboliczny element swojej działalności, przedstawiając go jako dowód ekologicznej odpowiedzialności. Przykładowo: przedsiębiorstwo może zużywać ogromne ilości wody, zanieczyszczać środowisko czy przyczyniać się do degradacji gleby, a jednocześnie reklamować się jako „zielone", ponieważ wprowadziło papierowe torby zamiast plastikowych reklamówek. Oczywiście to dobrze, że takie zmiany się pojawiają, ale w skali całej działalności firmy są one często marginalne.

Podobnie wygląda kwestia tzw. offsetów, czyli kompensacji emisji. Kupując jakiś produkt czy usługę, mamy wrażenie, że płacimy również za sadzenie drzew czy odbudowę środowiska. W praktyce jednak skala tych działań bywa zupełnie

eprasa.pl e015ce267c

nieproporcjonalna do szkód, jakie generuje dana firma. Poza tym z punktu widzenia przyrody znacznie lepiej chronić istniejące lasy i ekosystemy, niż dopiero sadzić nowe drzewa. Naturalne ekosystemy, rozwijające się przez dziesiątki czy setki lat wraz z całą florą i fauną, są znacznie bardziej stabilne niż świeże nasadzenia, które często obumierają albo rozwijają się słabo.

– Dotychczas stosowaliście dość radykalne metody działania, co sugeruje przekonanie, że walka ze zmianami klimatycznymi jest niezwykle pilna i wymaga poważnych wyrzeczeń. Czy w tak palącej sytuacji w ogóle możliwe jest uchronienie uboższych warstw społeczeństwa przed kosztami tej transformacji?

– Zacznę od wyjaśnienia, że dziś w pewnym sensie reprezentuję dwa ruchy społeczne. Z jednej strony jest to Ostatnie Pokolenie, a z drugiej – nowo powstający Ruch Klimatyczny Jazda! Zakładamy go dlatego, że możliwe jest poszerzenie pola działania i jeszcze mocniejsze podkreślenie wątku sprawiedliwości społecznej w polityce klimatycznej. Jako ruch Jazda! uważamy, że polityka klimatyczna może wyglądać zupełnie inaczej niż obecnie. Może być sprawiedliwa i solidarna; taka, która sprawi, że słowo „klimat” będzie się ludziom kojarzyło pozytywnie, a nie z kolejnymi wyrzeczeniami, często na rzecz najbogatszych, którzy de facto żyją naszym kosztem. Warunkiem jest jednak to, by nie była ona tworzona wyłącznie przez liberalne elity polityczne, czy to na warszawskich, czy brukselskich salonach, lecz w dialogu z szerokimi grupami społecznymi i z uwzględnieniem interesów zwykłych ludzi.

OTWARCIE MÓWILIŚMY NA PRZYKŁAD, ŻE RAFAŁ TRZASKOWSKI NAS ZAWIÓDŁ.

Uważamy też, że jest to temat, który może łączyć bardzo różne środowiska: konserwatystów, katolików i lewicę. Wspólnym mianownikiem jest przecież troska o wspólny dom – o Polskę. Oczywiście nie jest to łatwe i wymaga budowania mostów między środowiskami, które na co dzień ze sobą rywalizują. W pewnym sensie Ostatnie Pokolenie próbowało już przecierać tę drogę. Ciekawym przykładem była niedawna debata w Sejmie nad naszą ustawą dotyczącą transportu dla wsi i biletu za 50 zł. To projekt w oczywisty sposób prospołeczny. Jego celem jest przywrócenie godnego transportu milionom mieszkańców wsi, którzy dziś często nie mają jak dojechać do pracy, szkoły czy nawet do kościoła. Podczas prac w komisji okazało się jednak, że podziały polityczne w tej sprawie nie pokrywają się ze stereotypowymi liniami konfliktu. Za dalszym procedowaniem ustawy opowiedziała się Lewica, która złożyła ją w Sejmie w naszym imieniu, a także Prawo i Sprawiedliwość oraz Konfederacja. Z kolei przeciwko szybkiemu procedowaniu byli przedstawiciele PSL, Platformy Obywatelskiej, Polski 2050 i Centrum.

KLUCZOWE JEST POKAZANIE, ŻE TRANSFORMACJĘ ENERGETYCZNĄ MOŻNA PROWADZIĆ W SPOSÓB SPRAWIEDLIWY.

Dlatego budując ruch Jazda!, chcemy stworzyć platformę reprezentującą w polityce klimatycznej głos związków zawodowych, rolników, mieszkańców wsi i małych miejscowości. Naszym zdaniem nie da się skutecznie chronić klimatu ani zdobyć dla tej sprawy szerokiego poparcia społecznego, jeśli działania na rzecz ograniczania emisji nie będą jednocześnie poprawiały jakości życia ludzi. Warunkiem jest jednak współpraca ponad podziałami. Jeśli prospołeczna prawica i prospołeczna lewica będą ze sobą wyłącznie walczyć, wówczas przestrzeń polityczną zawsze będą zagospodarowywać liberałowie, wprowadzając rozwiązania przede wszystkim korzystne dla wielkiego kapitału. Dlatego też wszystkich gorąco zapraszamy do kontaktu, dialogu i współpracy we wspólnym interesie.

– Jakim przekazem chcecie przekonać do swoich idei ludzi z klasy ludowej?

– Przede wszystkim trzeba rozmawiać o realnych problemach, z którymi ludzie się mierzą na co dzień. Zmiany klimatyczne nie są abstrakcyjną kwestią, one mają bardzo konkretne konsekwencje. Susza uderza w rolników i mieszkańców wsi, a wykluczenie komunikacyjne pozostaje ogromnym problemem w wielu regionach Polski.

Kiedy jako Ostatnie Pokolenie pojechaliśmy do gminy Siennica,

eprasa.pl e015ce267c

do wsi Nowa Pogorzel, rozmawialiśmy z mieszkańcami właśnie o takich sprawach. Okazało się na przykład, że niektórzy mają problem z dotarciem do kościoła, bo w okolicy nie funkcjonuje regularna komunikacja autobusowa. Dlatego pokazujemy, że polityka klimatyczna może oznaczać bardzo konkretne korzyści dla lokalnych społeczności, na przykład przywrócenie godnego transportu publicznego dla kilkunastu milionów ludzi.

W naszym przypadku ważnym tematem jest właśnie transport, ale podobnie trzeba rozmawiać z innymi grupami zawodowymi: z rolnikami czy górnikami. Trzeba pokazać, że transformację można przeprowadzić uczciwie i z poszanowaniem interesów tych środowisk. Wiele osób ma poczucie, że różne obietnice, jak choćby zapowiadane umowy społeczne, nie są później dotrzymywane. Dlatego kluczowe jest odzyskanie wiarygodności i pokazanie, że można prowadzić tę transformację w sposób sprawiedliwy.

Jednocześnie bardzo ważne jest dla nas podkreślanie apolityczności. Mówię tu szczególnie o budowanym przez nas ruchu Jazda! Chcemy jasno pokazać, że nie jesteśmy związani z żadną partią polityczną i jesteśmy gotowi krytykować każdą z nich, jeśli nie realizuje potrzebnych zmian. Kiedy rozmawialiśmy z mieszkańcami w Siennicy, otwarcie mówiliśmy na przykład, że Rafał Trzaskowski nas zawiódł. Pokazanie, że nie jesteśmy czyimiś politycznymi „ulubieńcami", tylko potrafimy krytykować także rządzących, często budzi sympatię wśród osób o różnych poglądach, również tych, które nie głosują na obecną władzę. Niestety elity i mainstreamowe media nakręcają nieufność, aby dzielić i osłabiać społeczeństwo, przedstawiać klimat, jakby to była tylko kwestia lewicowa czy liberalna, a tak przecież nie jest.

Istotne jest więc przełamywanie stereotypów. Ruchy klimatyczne są dużo bardziej zróżnicowane, niż się powszechnie sądzi. Wielu z nas pochodzi z małych miast czy ze wsi. Ja sam pochodzę z Nysy w województwie opolskim, to miasto średniej wielkości, około 40-tysięczne, ale przez lata miałem kontakt z ludźmi z okolicznych wsi i dobrze znam realia takich miejsc. Podobnie jest z kwestią światopoglądu. Sam jestem katolikiem i nie pasuję do stereotypowego wyobrażenia działacza klimatycznego. Tymczasem istnieje całe środowisko katolickie, które bardzo poważnie traktuje kwestie ochrony stworzenia i odpowiedzialności za wspólny dom.

ISTNIEJE CAŁE ŚRODOWISKO KATOLICKIE, KTÓRE BARDZO POWAŻNIE TRAKTUJE KWESTIE OCHRONY STWORZENIA I ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA WSPÓLNY DOM.

Andrzej Strzałkowski – członek nowo powstałego Ruchu Klimatycznego Jazda! oraz Ostatniego Pokolenia. Jest doktorantem socjologii w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Jego rozprawa dotyczy wdrażania gospodarki nastawionej nie na zysk, ale na cele społeczne i dobrostan ludzi.

ROZTERKI MICHALSKI



eprasa.pl e015ce267c

ZEMSTA kontra AMBICJA



Fot. Jakub Porzycki / Forum

Spór wewnątrz PiS może mieć ożywczy skutek. Stwarza okazję do wyrwania się z siermiężnego konfliktu „maślarzy” i „harcerzy”. Rywalizacja między Przemysławem Czarnkiem i Mateuszem Morawieckim może przeobrazić partię w wielonurtową formację, która przyciągnie wyborców o **różnych** prawicowych wrażliwościach.

Mariusz Staniszewski

Gdy Mateusz Morawiecki zapewniał o wsparciu dla Przemysława Czarnka, ale jednocześnie jasno wyraził brak zainteresowania – w przypadku wygranej PiS – objęciem funkcji wicepremiera w jego rządzie, nie można było mieć wątpliwości, że konflikt w partii nie został zażegnany wraz z przedstawieniem kandydata na premiera. Rywalizacja przeszła raczej w inną fazę – z jednej strony bardziej bezwzględną, ale z drugiej wymagającą zręczności, dojrzałości i przenikliwości. Ścierają się nie tylko dwie, całkowicie odmienne osobowości, lecz także sposoby uprawiania polityki oraz modele rządzenia.

Wbrew prawicowym malkontentom ta rywalizacja nie musi, a nawet nie powinna, prowadzić do destrukcji. Może dać największej partii opozycyjnej szansę na transformację z ugrupowania zarządzanego ręcznie przez Jarosława Kaczyńskiego do struktury znacznie bardziej nowoczesnej, w której mieszczą się różne podejścia do kwestii społecznych, gospodarczych czy nawet ustrojowych.

eprasa.pl e015ce267c

Dwa pułapy

Przemysław Czarnek na dobre zaczął swój tour po kraju. Spotyka się z różnymi środowiskami niezadowolonymi z rządów Donalda Tuska, by skanalizować ich emocje, ale przede wszystkim zaprezentować się jako nowy lider opozycji. Rzuca wyzwanie obecnemu premierowi jako kandydat na jego następcę. Wyznacza mu terminy na wyjście z systemu ETS i stawia ultimatum wiarygodności. Wiele w tym teatru, ale przecież na tym także polega polityka.

W zamierzeniu ma to uruchomić efekt kuli śniegowej, czyli gromadzenia pod jednym sztandarem wszystkich, którym dzieje się gorzej, a nie wiążą już żadnej nadziei z obecnym, coraz wyraźniej gnijącym układem władzy.

Czarnek jest ewidentnie zawodnikiem wagi ciężkiej i choć początkowe sondaże nie były dla niego zbyt przychylne, to jednak w kolejnych miesiącach może wiele zyskać. Jego pewność siebie, błyskotliwość i zawadiacka arogancja odpowiadają na oczekiwania znacznej części prawicowych wyborców. Czy takich właśnie cech nie przejawiają Donald Trump albo Nigel Farage, który prowadzi w wyborczych sondażach w Wielkiej Brytanii? Czy taki zuchwały i szelmowski styl nie zapewnił nadspodziewanie wysokiego poparcia Sławomirowi Mentzenowi w pierwszej turze wyborów prezydenckich?

Czy nam się to podoba, czy nie, dzisiejsza polityka promuje ludzi szermujących ostrymi sądami i to jeszcze w swawolnym tonie. Co prawda prof. Czarnek, od kiedy został przedstawiony jako kandydat na premiera, stara się kreować na polityka bardziej poważnego, ale przecież ciągle bardzo wyrazistego, posiadającego recepty na szybkie rozwiązywanie nabrzmiałych problemów.

Mateusz Morawiecki, który – mimo chwilowej porażki – wcale nie zamierza rezygnować z walki o najwyższe stawki, przyjął zupełnie inną taktykę. Wszedł poziom wyżej. Ze swoją strategią dla nowoczesnej Polski „Powered by Poland" przedstawia raczej kierunki rozwoju naszego kraju i całego kontynentu. W tym wydaniu jest bardziej wizjonerem, który na tyle poznał politykę UE, że wie, co trzeba z niej usunąć, by Europa znów nabrała wiatru w żagle. Były premier, któremu przyszło rządzić w czasie pandemii i agresji Rosji na Ukrainę, jest niewątpliwie politykiem o największym doświadczeniu w sprawowaniu władzy w całym obozie prawicy. Siebie widzi więc w roli przywódcy.

> PRZEMYSŁAW CZARNEK, KTÓRY DO TEJ PORY BYŁ CZĘŚCIĄ SPORU, PLASUJĄC SIĘ PO STRONIE RADYKAŁÓW, TERAZ STANĄŁ PRZED NIEPOWTARZALNĄ SZANSĄ.

Nawet jeśli dziś wiele środowisk ma mu za złe zamykanie cmentarzy, przymusowe szczepienia czy naiwność podczas negocjacji w sprawie KPO, to przecież nikt nie może mu odmówić wiedzy i sukcesów. A było ich całkiem sporo: zwiększenie wpływów budżetowych, wzrost dochodów rodzin, likwidacja ogromnych sfer biedy czy zmontowanie koalicji, która zapewniła Ukrainie możliwość obrony przed agresją. To zapewnia mu pozycję absolutnie wyjątkową.

Różne temperamenty

Te dwa podejścia do polityki w oczywisty sposób mogą doprowadzić do czołowego zderzenia między kandydatem PiS na premiera a byłym szefem PiS-owskiego rządu. Do takiego zwarcia pragnie doprowadzić grupa polityków – głównie dawnej Suwerennej Polski, ale nie tylko – która uznaje Morawieckiego za wroga numer jeden. Często nawet groźniejszego od Donalda Tuska, bo na tyle silnego, by nie dopuścić ich do władzy w przypadku wyborczej przegranej obecnej koalicji.

Sam Przemysław Czarnek nie jest jednak skory do konfrontacji, gdyż doskonale zdaje sobie sprawę, że bez byłego premiera z PiS nie jest w stanie wygrać wyborów. A już z pewnością nie na tyle znacząco, by sięgnąć po władzę. Mateusz Morawiecki jest w stanie przyciągnąć wyborców bardziej umiarkowanych, dla których Czarnek jest ledwo tolerowalnym radykałem. Bez byłego szefa rządu misja kandydata na premiera musi skończyć się porażką, a wówczas zostanie sam. Wtedy stałby się politykiem przegranym tuż po przekroczeniu pięćdziesiątki, a więc w najlepszym wieku do sprawowania najwyższych urzędów.

Zresztą sam Morawiecki także zdaje sobie sprawę, że ma w PiS wystarczająco wielu wrogów, by nie eskalować konfliktu z Przemysławem Czarnkiem. Rywalizacja będzie więc toczyła się raczej na poziomie walki o popularność wśród wyborców, tworzenia własnych frakcji, zyskiwania aktywów w mediach i środowiskach eksperckich. Tu niewątpliwe atuty ma były premier, który pod tym względem jest

eprasa.pl e015ce267c

znacznie bardziej wiarygodny oraz posiada zdolność przyciągania ludzi ambitnych i kreatywnych. Przykładem jest choćby skupienie wokół siebie środowiska związanego z ruchem „Tak dla CPK", czyli grupy ambitnych fachowców, których połączyła idea wielkiej, cywilizacyjnej inwestycji.

O ile więc były premier przyciąga raczej tych, którzy chcieliby realizacji ambitnych projektów rozwojowych, o tyle Przemysław Czarnek skupia raczej niezadowolonych. Liczebna przewaga jest oczywiście po stronie byłego ministra edukacji, jednak merytorycznie siła leży po stronie ekspremiera.

Niekoniecznie jedna pięść

Politycy PiS, którzy z zapamiętaniem i determinacją zwalczają Morawieckiego, jak mantrę powtarzają, że w czasie kryzysu ich partia musi mówić jednym głosem, być jak jedna pięść. Tylko wtedy będzie w stanie odsunąć Donalda Tuska od władzy i rozliczyć jego niszczycielskie rządy.

Trudno powiedzieć, ile w tym efekciarskich deklaracji i nadęcia, a na ile jest to realna strategia. W sumie nie ma to zresztą większego znaczenia, gdyż w efekcie prowadzi do radykalizacji partii i skupienia się na hasłach odwetu na Tusku. Politycy ci zresztą mówią wprost, że wystarczy odsunąć obecną ekipę od władzy, wtedy problemy znikną. Zdają się nie dostrzegać, jak bardzo sami oddalają się od zdobycia władzy.

Rząd Tuska, choć ponosi porażki na wielu frontach – od wygenerowania ogromnego zadłużenia, przez wzrost bezrobocia, po osłabienie pozycji Polski w Europie – to jednak nie jest na tyle zużyty, by Polacy mieli go dość. Krytykują jego opieszałość i nieporadność, ale jeszcze nie patrzą na niego z obrzydzeniem.

Aby pokonać Tuska, trzeba zaproponować program pozytywny. Tu znów Morawiecki ma większe możliwości oddziaływania na wyborców, zwłaszcza na tych, dla których rozliczenia obecnej władzy nie są priorytetem. A nawet zamiast odwetu bardziej życzyliby sobie normalizacji polityki i obniżenia poziomu sporu. Polityków, dla których jedynym programem jest zemsta, postrzegają raczej jako zagrożenie niż alternatywę dla dzisiejszych rządów.

Ta „miękkość" byłego premiera jest przez PiS-owskich jastrzębi postrzegana jako słabość, a nawet zdrada. No bo skoro Morawiecki nie chce widzieć obecnego szefa rządu za kratami tydzień po wygranych wyborach, a raczej w ławach opozycji, to musi znaczyć, że jest gotów się z nim ułożyć. Radykalny, antytuskowy rewanżyzm prowadzi więc w rzeczywistości do walki z każdym w PiS, kto skupia się na tworzeniu programu mającego uzdrowić chore państwo.

Ogień i woda

Przemysław Czarnek, który do tej pory był częścią sporu, plasując się po stronie radykałów, teraz stanął przed niepowtarzalną szansą. Może zagospodarować te dwie emocje i przez to przyczynić się do stworzenia dwóch silnych nurtów. Jednego skupionego na obronie tradycyjnych wartości i chęci rozliczenia obecnej władzy z rażącego bezprawia oraz drugiego – zdecydowanie modernistycznego, prorozwojowego i aspiracyjnego, ale jednocześnie stanowiącego gwarancję, że radykalizm będzie okiełznany.

Choć dziś partyjni jastrzębie nie chcą słyszeć o zgodzie i za wszelką cenę próbują wypchnąć Mateusza Morawieckiego z PiS-u, to jednak zadaniem Przemysława Czarnka jest uspokojenie tych nastrojów. Jeśli zdoła to zrobić, udowodni, że nadaje się na funkcję szefa rządu. Wszak dopiero gdy sięgnie po władzę, stworzą się prawdziwe koterie i spiski, które potrafią paraliżować sprawowanie władzy.

Transformacja PiS – o ile oczywiście nastąpi – ma jeszcze jeden wymiar. Jarosław Kaczyński, choć oczywiście nadal jest niekwestionowanym liderem partii, to jednak jego pozycja nie jest w niej tak silna jak przed dekadą. Nie ma już tej mocy bezwzględnego rozstrzygania sporów, gdyż w jego ugrupowaniu wyrosło pokolenie dojrzałych polityków, którzy rozumieją, czym jest władza oraz porządnie jej posmakowali. Mają własne ambicje nie tylko jako działacze partyjni, ale jako liderzy swoich środowisk.

To powoduje, że władza Kaczyńskiego słabnie, a w zamian uruchamiają się mechanizmy demokratyczne.

JAROSŁAW KACZYŃSKI, CHOĆ OCZYWIŚCIE NADAL JEST NIEKWESTIONOWANYM LIDEREM PARTII, TO JEDNAK JEGO POZYCJA NIE JEST W NIEJ JUŻ TAK SILNA JAK PRZED DEKADĄ.

eprasa.pl e015ce267c



Magdalena Okraska

Polska czechofilia – nieodwzajemniona emocja

Czechofilia to zjawisko istniejące chyba tylko w Polsce. Tylko u nas uważa się, że Czesi są wręcz wspaniali jako naród i że mają idealną kulturę społeczną – że są swobodni, sympatyczni, interesują się kulturą oraz mają wielkie poważanie dla wolności w liberalnym wydaniu. Polacy dumnie nazywają się „czechofilami", tworzą liczne grupy w mediach społecznościowych, gdzie dyskutują o „złotej Pradze" i bombonierkowym Český Krumlove, opierając swoją wiedzę i sympatię na powierzchownych turystycznych doświadczeniach. W tym skomplikowanym przejawie poczucia niższości społeczeństwo polskie wyraża wiele przekonań na temat Czech i samych Czechów: że są tacy albo inni, że prowadzą proste, przyjemne życie, że są krajem nowoczesnym i tolerancyjnym – i że sympatia ta jest wzajemna.

Czechofilia to bardzo ciekawe zjawisko, które bez mrugnięcia okiem wszyscy przyjmujemy jako zasadne. Nie przepadasz za Czechami? Musisz się z tego tłumaczyć, zwłaszcza w inteligenckim środowisku.

Jako osoba, która przebywa regularnie w Czechach od 1997 roku, mówi po czesku, a od trzech lat mieszka 1200 metrów od mostu granicznego, staram się co jakiś czas łagodzić ten zbiorowy szał i studzić gorące emocje, jednak zazwyczaj bez skutku. Zawsze mnie zdumiewa – a i pod nosem bawi – jak polscy liberałowie bałwochwalczo czczą Czechów i jakie spectrum poglądów na politykę i kwestie obyczajowe im przypisują. Zastanawiam się też, co by zrobili, gdyby wiedzieli, że Honza z Mikulova to często pod względem poglądów wyszydzany przez nich polski Zenek z Knurowa.

Z jakiegoś powodu polska inteligencja uznaje Czechów za swobodnych, ukulturalnionych, posiadających znakomitą „kulturę picia", w przeciwieństwie do wyśmiewanego polskiego „ochlejstwa". Dla polskiego liberała zaletą Czecha jest fakt, że niezbyt chętnie chodzi on do kościoła. Tylko niespełna 12% Czechów to katolicy, a prawo u naszych sąsiadów dopuszcza aborcję do 12. tygodnia ciąży. Wystarczy to, by polski liberał triumfował i stawiał czeskie społeczeństwo w opozycji do polskiego „ciemnogrodu". To tak jednak nie działa. Po pierwsze, Czesi brak „kościółkowości" zastąpili zamiłowaniem do ezoteryki, a po drugie – nie są wcale niechętni praktycznym przejawom kultury religijnej, zwłaszcza gdy są one zakorzenione w tradycji.

Polski inteligent sądzi, że Czech toleruje migrantów, wchłania używki z umiarem i jest „Niemcem Europy Wschodniej". Nic bardziej mylnego. Czesi są antyunijni, prorosyjscy (a przynajmniej nie są antyrosyjscy), silnie proalkoholowi, o 7 lat dłużej niż Polacy dopuszczali palenie tytoniu w lokalach gastronomicznych i nadal niektórzy walczą o zlikwidowanie tego zakazu, są szyderczy wobec własnych mniejszości etnicznych (Romów i Wietnamczyków) i niechętni migracji z dalszych części świata. W czasach covidowych sprzeciwiali się noszeniu maseczek, istniał u nich silny ruch antyszczepionkowy, postrzegany jako pełnoprawna, równoległa narracja, a nie „szuria". Nie czynię z tego zarzutów, bo większość tych postaw w ogóle mnie nie razi, a gdyby raziła, to łaski nie robię, to nie mój kraj. Zastanawiam się jednak, jak czułby się polski liberał z dużego miasta, gdyby wiedział, że siedzący obok niego w piwiarni Honza jest rasistą, ma poglądy antyunijne i zdarza mu się udać na targi magicznych minerałów.

Czechofilia to dziwaczny konstrukt, który nie powstał sam z siebie – narzucił nam go inteligencki dyskurs z lat 90. i późniejszych, wszyscy ci Mariuszowie Szczygłowie z monopolem na „wiedzę" o tym kraju. W mediach typu „Wyborcza" wypisywano peany na temat „czeskiego podejścia do życia", ignorując statystyki chorób wątroby, na które Czesi zapadają z powodu „fajnej kultury picia". Dorzucono do tego zbioru gremialne przepraszanie za 1938 rok, a kwestię konfliktu o Zaolzie przedstawia się nadal wyłącznie z czeskiej perspektywy, na co Czesi oczywiście zacierają ręce.

Za Olzą leży po prostu inny od naszego kraj. Ani lepszy, ani gorszy. Niekoniecznie weselszy, niekoniecznie ciekawszy. Nie pod każdym względem jego mieszkańcy mają „lepsze" od naszych poglądy i wizje polityczne. Warto odwiedzić Czechy i naprawdę poznać. Nie warto za to nieustannie deklarować dozgonnej sympatii ponad wszystko, bo polonofilii w Czechach nie uświadczymy, a istotą dobrych relacji jest wzajemność.

eprasa.pl e015ce267c

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Co z tymi Niemcami?

Zdzisław Krasnodębski

Ostatnio trudno jest spotkać w Polsce kogoś, kto ma dobre zdanie o Niemcach, kto lubi Niemcy czy ceni niemiecką kulturę. Nawet w kręgach rządowych miłość do Niemiec nieco ostygła mimo znanych nie od dziś inklinacji premiera Tuska. W swoim ostatnim exposé sejmowym minister Radosław Sikorski, który w słynnym berlińskim przemówieniu w 2011 roku wzywał Niemców do działania, ostrzegał teraz nie mniej wymownie: – Lepiej jest rozmawiać z silnymi Niemcami jako partnerem w ramach Unii niż z silnymi Niemcami bez więzów i norm, które nakłada na nie Wspólnota. Wyobraźmy sobie słabą bądź rozmontowaną Unię Europejską. Poza jej strukturami biedniejsza Polska i uzbrojone po zęby Niemcy, w dodatku rządzone przez nacjonalistyczną prawicę. Naprawdę tego chcecie?

Można chyba przyjąć, że pan minister był szczery, że nie chciał tylko cynicznie postraszyć Polaków, by wzmocnić prounijne nastroje, że rzeczywiście obawia się Niemiec uzbrojonych po zęby i sądzi, że nacjonalizm niemiecki narasta tak szybko, że wkrótce będziemy musieli się zmierzyć z otwarcie nacjonalistycznym rządem w tym kraju. Ale chyba tylko pociesza nas i siebie, że normy i więzy unijne – które nie sprawdziły się jako środek osłabiania niemieckiej hegemonii w Europie – mogą oddalić to niebezpieczeństwo.

Zmianę nastawienia Polaków potwierdzają demoskopowie. Od 25 lat prowadzone są wspólne badania wzajemnego nastawienia i wizerunków Polaków i Niemców. To wspólne przedsięwzięcie instytucji żarliwie zaangażowanych w proces polsko-niemieckiego zbliżenia, takich jak Instytut Spraw Publicznych, Deutsches Polen-Institut, Fundacja Konrada Andenauera oraz Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej.

DZISIAJ NIEMCY SĄ LEPSZEGO ZDANIA O POLAKACH NIŻ POLACY O NIEMCACH.

Najnowsze badania w ramach tego „Barometru Polska-Niemcy" przyniosły bolesne dla badaczy wyniki. Jak piszą autorzy raportu: „Sympatię wobec Niemców wskazuje jedynie jedna trzecia (32%) badanych Polaków. Po wieloletnim trendzie wzrostowym oznacza to gwałtowny spadek nastrojów wobec zachodniego sąsiada. Najwyższy od lat jest również odsetek Polaków deklarujących niechęć wobec Niemców (co czwarty badany)". Co ciekawe, zmiany takie nie zaszły wśród Niemców:

„Po niemieckiej stronie sympatię wobec sąsiedniego społeczeństwa wskazuje 42% badanych, czyli tyle samo, ile w 2022 roku. Wyraźnie spadł jednocześnie odsetek osób deklarujących antypatię – do jedynie 9%". Dowiadujemy się z tych badań, że „Niemcy wykazują zdecydowanie wyższy poziom akceptacji Polaków w różnych rolach społecznych (sąsiad, szef, przyjaciel, radny, zięć/synowa) niż Polacy wobec Niemców, a różnice wynoszą od czternastu do trzydziestu dwóch punktów procentowych. Podczas gdy w Polsce akceptacja Niemców osiąga co najwyżej poziom trzech czwartych badanych, w Niemczech dochodzi do 90%. Tak duże różnice akceptacji nie były obserwowane od wielu lat. Odpowiedzi Polaków uległy od ostatniego badania w 2022 roku znacznemu pogorszeniu w odniesieniu do każdej badanej roli społecznej. Z kolei poziom akceptacji Niemców wobec Polaków wzrósł i jest najwyższy w historii naszych badań".

Badacze są głęboko poruszeni: „Obecny wynik, będący wręcz

eprasa.pl e015ce267c

dramatycznym spadkiem, wskazuje niestałość nastrojów z 2022 roku, kiedy sympatię deklarowała ponownie połowa Polaków. Najwyższy od początku prowadzenia naszego badania jest odsetek Polaków deklarujących niechęć wobec Niemców – co czwarty badany".

Dzisiaj Niemcy są lepszego zdania o Polakach niż Polacy o Niemcach. Co ciekawe, wzajemne oceny polityki europejskiej każdego z krajów pozostają krytyczne.

Niewątpliwie te dane to polityczna porażka naszych sąsiadów zza Odry – tyle przecież zainwestowali w Polskę, kontrolują znaczną część rynku, finansują tyle organizacji pozarządowych, wspierają sprzyjające im formacje polityczne, obsypują pochwałami i nagrodami wybitne osobowości – od Małgorzaty Gersdorf po Tomasza Piątka.

Co spowodowało tę zmianę nastawienia Polaków? Na pewno stosunek Niemców do zbrodni popełnionych przez nich w Polsce. Agresywna niemiecka polityka pamięci zmierzająca do ich „denacjonalizacji" i przerzucania na Polaków części odpowiedzialności nie może nie budzić oburzenia. Zarówno to, jak i odmowa upamiętniania polskich ofiar, nie mówiąc już o wypłaceniu reparacji, pokazuje, że dotychczasowe „pojednanie" było traktowane instrumentalnie, że Niemcy nie zamierzali dokonać rzetelnego rachunku sumienia.

Ale rzecz nie dotyczy tylko przeszłości. Osłabł także podziw dla poziomu życia, dobrobytu i sprawności organizacyjnej Federalnej Republiki Niemiec. Negatywne nastawienie do Niemców i Niemiec wynika jednak głównie z tego, że wyprowadzili całą Europę na manowce. Ich polityka migracyjna, klimatyczna, energetyczna, obronna, ich stosunek do Rosji robią wrażenie polityki nie tylko błędnej, lecz wręcz obłędnej.

Co spowodowało, że mimo tylu sygnałów ostrzegawczych Niemcy brnęły w złym kierunku, ciągnąc za sobą całą Europę? Ich niezachwiane przekonanie o swoim monopolu na słuszność. Czasami uznajemy Niemców za zimnych, wyrachowanych, „trzeźwych". Tymczasem ich postawę polityczną charakteryzuje raczej fanatyczny idealizm, nieznający kompromisów z nielogiczną rzeczywistością, przechodzący w brutalizm, gdy stłumione emocje wybuchają z całą siłą. Taki był hitleryzm – to wyższe ideały, a nie cynizm czy nihilizm kazały im dokonywać eksterminacji Żydów i Polaków. Fryderyk II, zanim zabrał się do bezlitosnej polityki, był autorem sentymentalnego „Anti-Machiavela". Filozof Arnold Gehlen, sam niestroniący od narodowego socjalizmu, napisał kiedyś, że Niemcy są „fanatykami konsekwencji". „Apolityczni" – w sensie opisywanym przez Thomasa Manna – ceniący duchową, wewnętrzną kulturę, a nie powierzchowną cywilizację, stawali się obsesjonistami politycznymi, bo dążenie do perfekcji, do ostateczności w polityce kończy się nieszczęściem.

OSŁABŁ PODZIW DLA POZIOMU ŻYCIA, DOBROBYTU I SPRAWNOŚCI ORGANIZACYJNEJ FEDERALNEJ REPUBLIKI NIEMIEC.

Inaczej jest w kulturze, w której ta konsekwencja, drążenie problemu, systematyczność przynoszą godne podziwu rezultaty. Nikt chyba tak dogłębnie nie przemyślał kondycji i położenia człowieka nowoczesnego jak Niemcy. Filozofia niemiecka to Himalaje intelektu, kosmos spekulacji. Czym byłaby kultura europejska, zachodnia bez niemieckiej muzyki – Bacha, Mozarta, Beethovena; bez niemieckiej poezji – Goethego, Hölderlina, Rilkego; bez niemieckiej filozofii – Kanta, Hegla, Heideggera, tego wielkiego filozofa narodowego socjalizmu. Kto inny pomyślałby, że można zamknąć wszystko, co istnieje – i to, co nie istnieje – w jednym systemie myślowym? Kto inny sądziłby, że całe chrześcijaństwo, jego dogmaty i niezgłębione tajemnice dadzą się wyrazić racjonalnie, pojęciowo w języku „sekularnym"? Thomas Mann słusznie wskazywał kiedyś, że nie ma dwóch Niemiec – dobrych i złych, a Hitlera nazwał „bratem". Wiedział, że genialność miała swoją cenę. Sam jednak cofnął się przed podpisaniem cyrografu.

Nie powinnyśmy przy tym zapominać – o czym Niemcy lubią przypominać – że inne narody też mają wiele na swoim sumieniu: Francja – krwawe rewolucje, Belgia – zbrodnie w Kongo, Stany Zjednoczone – eksterminację Indian i niewolnictwo. Izrael również nie okazał się państwem-aniołem itd. Nie, historia nie jest opowieścią dla wrażliwych panienek – historia to krwawa jatka, przerywana jedynie okresami spokoju. Jeden z nich chyba dobiega właśnie końca.

Nie powinniśmy również zapominać, że los zbiorowy

eprasa.pl e015ce267c

nie przekłada się na wybory i losy każdej jednostki. Nie powinniśmy zapominać tych wszystkich Polaków, którzy mogąc być Niemcami, zostali Polakami z wyboru. Żeromski wkłada w „Popiołach” w usta generała Henryka Dąbrowskiego następujące słowa skierowane do księcia Gintułta:

„Mnie stu akuzatorów denigruje, żem Niemiec, bom się u Maurycego Bellegarde’a i u mądrego Blüchera od fahnjunkra uczył, jak ślepo słuchać rozkazu, jak szyk sprawiać, jak wojsko wieść do batalii. Ba, żonę mam Niemkę! Kondotier! Szuka chleba i awantur. Nie ma hańby, której by mi nie zadali. Wiem, że zedrą ze mnie ostatni strzęp dobrego imienia. Nie oszczędzili mi nawet ostatniego postrzału, zarzutu zdrady [...]. Toż mogłem pójść w łaski króla pruskiego, w służbę taką czy inną. Ostatnie gniazdo, Pierzchowiec, sprzedałem. Już teraz żołnierski chleb jeno został, taki sam jako i ojcu. Kondotier! Jedź, mości książę, na wojaż swój, bo może by cię chęć wzięła kosztować naszego chleba i soli. A mówi ten stokroć mądry poeta, że gorzki to chleb pono, „lepiej się nie rodzić!...”.

Saksonia to nie były Prusy. Austria to już nie Niemcy. I dziś nie każdy Niemiec akceptuje kierunek niemieckiej polityki. Najlepszą książkę o polskim prawie do reparacji napisał historyk niemiecki, najlepszą książkę naukową podzielającą naszą krytykę demokracji liberalnej niemiecki politolog. Powinniśmy więc różnicować Niemcy i Niemców, szukać sojuszników i partnerów, nie łudząc się i nie zapominając, że w historii narodowej nie da się dokonać cięcia, zupełnego zerwania, że istnieje ukryta, często pozaświadoma kontynuacja, że nie da się łatwo zmienić mentalności zbiorowej, że dziedziczone są postawy.

Także nasze. Gdy kiedyś obserwowałem europosła z niemieckiej partii Zielonych wracającego z Polski, z misji „ratowania praworządności”, patrząc na jego zadowoloną minę i tępe oblicze, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w tym postępowym, zielonym, pokojowo przecież nastawionym i pełnym dobrej woli młodym polityku buzuje ta sama antypolska arogancja, to samo samozadowolenie, ta sama bezczelność i bezwzględność, które wypełniały duszę innego miłośnika i znawcę prawa – dr. Hansa Franka. S

POLITYKA MIGRACYJNA, KLIMATYCZNA, ENERGETYCZNA, OBRONNA NIEMIEC, ICH STOSUNEK DO ROSJI ROBIĄ WRAŻENIE POLITYKI NIE TYLKO BŁĘDNEJ, LECZ WRĘCZ OBŁĘDNEJ.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl e015ce267c

POD PATRONATEM „TS”

Narodziny wolności słowa

3 KWIETNIA BR. MIJA 45. ROCZNICA UKAZANIA SIĘ pierwszego numeru „Tygodnika Solidarność”. Pojawienie się ogólnopolskiego pisma reprezentującego dziesięciomilionowy związek zawodowy i ruch społeczny stanowiło istotny przełom w walce o wolność słowa w PRL. Zmagania o dostęp do prawdziwych informacji, pozbawionych propagandowej wykładni, stanowiły bowiem istotny element walki Polaków z systemem komunistycznym już od momentu zakończenia II wojny światowej. Instytucją stojącą na straży zbudowanego przez totalitarne państwo systemu powszechnego kłamstwa był Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, wypełniający w latach 1945–1990 funkcję cenzury prewencyjnej. Monopol informacyjny władz PRL został poważnie naruszony w 1980 r. po narodzinach NSZZ „Solidarność”, skutkujących pojawieniem się tysięcy czasopism wydawanych bez ingerencji cenzorskich w formule druków „do użytku wewnątrzzwiązkowego”. Prasa solidarnościowa ukazująca się legalnie w latach 1980–1981 z powodzeniem przejęła rolę pełnioną wcześniej przez pisma drugiego obiegu, dając czytelnikom prawdziwy obraz otaczającej rzeczywistości politycznej, społecznej i gospodarczej. Wśród periodyków wydawanych przez Związek najważniejszym pozostawał „Tygodnik Solidarność”, wydawany w półmilionowym nakładzie (w okresie I KZD drukowano milion egzemplarzy) i stanowiący kluczowy kanał komunikowania się ze społeczeństwem. Na jego łamach prezentowano postulaty i program Związku, oczekiwania społeczeństwa, odkłamywano wreszcie zmistyfikowane przez komunistów najnowsze dzieje Polski. Historia „TySola” jest zapisem burzliwych dziejów solidarnościowej rewolucji wolnościowej, która została gwałtownie zdeptana przez władze 13 grudnia 1981 r. Wprowadzenie stanu wojennego przerwało wydawanie „Tygodnika”, który powrócił na scenę w czerwcu 1989 r., stając się bacznym i krytycznym obserwatorem procesu transformacji ustrojowej w Polsce. Tę rolę pełni do dziś, konsekwentnie nawiązując do ideałów zrodzonych na Wybrzeżu w Sierpniu roku 1980.


Do Czytelników

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

3 kwietnia 1981 roku 1

POCZĄTEK ROZMÓW

„Tygodnik Solidarność” nr 1/1981

O szczegółach red. Paweł Lekki rozmawia z dr. Sebastianem Pilarskim, dyrektorem Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej.

Więcej podcastów historycznych można znaleźć na portalu przystanekhistoria.pl.

Posłuchaj:

eprasa.pl e015ce267c

Europa powinna pomóc USA w wojnie systemowej z CHINAMI



– W interesie wszystkich obawiających się, jak wyglądałby świat, którego hegemonem jest państwo autorytarne rządzone przez Komunistyczną Partię Chin, jest pomoc Ameryce w tym starciu. Chciałbym, by „świat Zachodu", który przynajmniej częściowo stara się kierować tym, co kiedyś nazywano „zachodnimi wartościami", również pomógł Ameryce – mówi **Krzysztof Mroczkowski** w rozmowie z **Markiem Nowakiem**.

– W jakim miejscu historii obecnie się znajdujemy?

– Myślę, że jesteśmy w trakcie tego, co niektórzy obserwatorzy geopolitycznej rzeczywistości nazywają „wojną systemową" między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. To konflikt, którego stawka jest bardzo wysoka, a jego wynik ciągle jest nierozstrzygnięty.

– Przyjrzyjmy się zatem uczestnikom tego konfliktu. Chińska Republika Ludowa jest często obsadzana w roli czarnego charakteru. Uczestnicy dyskursu czasem określają sami siebie jako „frakcja amerykańska" lub „frakcja europejska" czy „kontynentalna". Nikt jednak nie powie, że jest „frakcją chińską".

– Te etykietki to jakaś kompletna aberracja. Wszyscy jesteśmy „frakcją polską", a w każdym razie powinniśmy być. Jeśli chodzi o Chiny, to nie jestem doktrynalnym przeciwnikiem całości polityki realizowanej przez Komunistyczną Partię Chin. Nie mówię tu oczywiście o kompletnej monopolizacji władzy, życia społecznego czy niespotykanym w zachodniej kulturze poziomie inwigilacji obywateli. To oczywiście należy potępić. Chodzi mi o inne aspekty życia społecznego współczesnych Chin, w których władza próbuje przeciwdziałać narastającym psychicznym i społecznym problemom pojawiającym się na styku jednostka – nowoczesne technologie. To widać w priorytetach Xi Jinpinga w takich sprawach jak ograniczenie mediów społecznościowych czy gamingu dla

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e015ce267c

ludzi młodych, którzy się jeszcze rozwijają. Myślę, że pokazuje to, iż obecne, częste w naszej debacie publicznej, kreślenie portretu chińskich władz wyłącznie w czarnych barwach jest obrazem daleko niepełnym. Wiele czasem większych, a czasem drobnych działań wskazuje na to, że władze Chin w życiu wewnętrznym swojego kraju kierują się troską o jego dobrostan i przyszłość. Oczywiście nie twierdzę, że w Chinach żyje się świetnie, bo zwłaszcza ostatnie lata to okres zaciskania pasa w celu utrzymania pozycji eksportowej, ale warto spojrzeć na ich politykę w szerszej perspektywie.

– Obawiam się, że subtelność naszej debaty publicznej spowoduje, że od teraz będziesz postrzegany nawet nie jako frakcja, lecz wprost jako agent, świadomy czy nie – to się jeszcze ustali – chińskich interesów.

– Za dużo jest w naszej debacie patrzenia na wszystko przez ideologiczne okulary. Ideologicznie bardzo blisko mi do prezydenta USA Franklina D. Roosevelta, ale dla nas, Polaków, podjął tragiczne decyzje, redukując w 1942 roku plany zaangażowania USA w Europie, przesądzając tym samym o naszym wpadnięciu w rosyjską strefę wpływów. Ideologia nie jest dobrym przewodnikiem w polityce międzynarodowej. Chiny to dobry przykład tego zjawiska. Patrzenie na nie przez pryzmat ideologiczny jako na kraj rządzony przez złych chińskich komunistów, którzy przecież nie mogą robić nic dobrze, powoduje, że sami siebie pozbawiamy możliwości spojrzenia na rzeczywistość w całym jej skomplikowaniu. Xi Jinping jest oczywiście przywódcą autorytarnym, ale nie jest też z pewnością żadnym szalonym satrapą. Według mnie to człowiek, który przeczytał wszystkich klasyków nie tylko myśli chińskiej, ale również europejskiej, i stara się rządzić zgodnie z interesem swojego społeczeństwa.

– Może wobec tego polskim interesem powinna być bliskość z Chinami? Pekin – Warszawa wspólna sprawa?

– W mojej ocenie nie byłoby to w polskim interesie.

– Dlaczego?

– Zanim odpowiem, pozwolę sobie na szerszą refleksję. Obecna rzeczywistość geopolityczna opiera się na modelu względnej równowagi. Pewnym niedoskonałym, lecz jednak jakoś istniejącym i działającym, bezpiecznikiem jest fakt, że istnieje kilka państw, które dysponują bronią mającą możliwość zniszczenia całego świata. To jest tzw. doktryna MAD, czyli wzajemnego zniszczenia, która do pewnego stopnia działa w sposób deeskalacyjny. Postęp technologiczny może doprowadzić do tego, że ten świat zniknie, jeżeli narzędzia przechwytywania będą tak zaawansowane, że jakakolwiek, choćby bardzo krucha, równowaga przestanie istnieć. Mówiąc wprost, co z tego, że wróg może zaatakować, jeśli atakowany będzie w stanie namierzyć i zniszczyć wyrzutnie, a ewentualne wystrzelone rakiety przechwycić? Myślę, że dzisiejszy technologiczny wyścig zbrojeń, z którym mamy do czynienia, jest przede wszystkim o to, które z państw jako pierwsze wykona ten epokowy skok technologiczny.

– Brzmi jak science-fiction.

– O tej koncepcji można było przeczytać choćby w 2006 roku w „Foreign Affairs". Zdobycie możliwości obrony przed zdolnościami bojowymi przeciwnika spowoduje unieważnienie tych zdolności. Państwo, które tego dokona, zostanie światowym hegemonem, bo stanie się jedynym, które jest w stanie skrzywdzić każde państwo, jednocześnie nie mogąc być przez nikogo skrzywdzonym. To przy dzisiejszym rozwoju technologii staje się coraz bardziej możliwe. Oczywiście, trudno tu prorokować konkretną datę, ale myślę, że jak dziś Rosja patrzy na swoją przyszłość technologiczną, pewnie już wie, że nie jest w stanie nawiązać kontaktu z Chinami ani USA i widzi już na horyzoncie koniec swojego najważniejszego narzędzia – szantażu bronią atomową.

> DZISIEJSZY TECHNOLOGICZNY WYŚCIG ZBROJEŃ, Z KTÓRYM MAMY DO CZYNIENIA, JEST PRZEDE WSZYSTKIM O TO, KTÓRE Z PAŃSTW JAKO PIERWSZE WYKONA EPOKOWY SKOK TECHNOLOGICZNY.

– Czyli nie świat wielobiegunowy, lecz jeden hegemon?

– Oczywiście, trudno to prorokować na 100 procent, niemniej myślę, że ze względu na rozwój technologii i związany z nim technologiczny wyścig zbrojeń to jest bardzo prawdopodobna sytuacja, że na samym końcu tej drogi dojdziemy do momentu, iż ktoś dokona pierwszy epokowego skoku technologicznego, a przez to zyska ogromną przewagę nad resztą. Dziś szansę na to mają jedynie dwa kraje: USA i Chiny. Patrząc na to kompletnie nieideologicznie, a jedynie z punktu widzenia zarówno polskiego, jak i europejskiego interesu, to dużo bezpieczniejszym wyborem są Stany Zjednoczone.

eprasa.pl e015ce267c

– Czyli przyznajesz rację „frakcji amerykańskiej”?

– Nie postrzegam tego poprzez rację tej czy innej frakcji. Myślę, że tu warto odwołać się do historii. Patrzę na rok 1945. Stany Zjednoczone wtedy miały jako jedyne bombę atomową, miały połowę światowej produkcji, bo niemal połowa światowego PKB była produkowana w USA. Nie były również w żaden poważny sposób dotknięte przez II wojnę światową. Warto zwrócić uwagę, że był to ten moment w historii, gdy Stany Zjednoczone miały narzędzia całkowitej dominacji nad światem. Mogły zniszczyć ZSRR i zdominować całą Europę. Co zrobiły z tak dużą siłą w swoich rękach? Postąpiły bardzo odpowiedzialnie oraz zgodnie z wartościami, które same głosiły. Mając pełną dominację nad resztą świata, nie wykorzystały jej, by wszystkich rzucić na kolana. Zamiast tego mieliśmy Plan Marshalla i pomoc w odbudowie Europy. Ktoś może powiedzieć, że to nie było robione z altruistycznych pobudek, a wykorzystane przez USA środki były zaprojektowane jako narzędzie amerykańskiej dominacji, ale warto jednak odnotować, że mimo miażdżącej przewagi Amerykanie nie próbowali sięgnąć po siłową dominację, zaprowadzając rządy „tysiącletniej amerykańskiej Rzeszy”. Dla mnie to ważne, bo sądzę, że wiele innych krajów wystawionych na podobną pokusę mogłoby jej ulec. Wyprowadzam z tego następujący wniosek: jeżeli Amerykanie wygrają ten wyścig, to będzie to bezpieczniejszy scenariusz dla świata niż ten, w którym wygrają Chińczycy. Tak jak mówiłem w naszej rozmowie, cenię prospołeczne motywacje Xi Jinpinga, ale tego typu system hierarchiczny, do pewnego stopnia zamknięty, wyjęty spod społecznej kontroli, ma to do siebie, że może ulec wspomnianej wyżej pokusie, której dużo trudniej będzie ulec systemom demokratycznym, a więc takim, które mają więcej społecznych bezpieczników. W interesie wszystkich obawiających się, jak wyglądałby świat, którego hegemonem jest państwo autorytarne rządzone przez Komunistyczną Partię Chin, jest pomoc Ameryce w tym starciu. Chciałbym, by „świat Zachodu”, który przynajmniej częściowo stara się kierować tym, co kiedyś nazywano „zachodnimi wartościami”, również pomógł Ameryce.

– Stany Zjednoczone potrzebują pomocy?

– Stany Zjednoczone potrzebują pomocy choćby dlatego, że nie są tak zaludnione jak Chiny. Znacząca przewaga populacyjna powoduje, że Chińczycy mogą „trenować” swoje technologie na dużej liczbie populacji, szybciej zbierać dane, reagować na bieżąco i ich modele szybciej się usprawniają. Chiny dysponują też przewagą w innych obszarach. Przede wszystkim dłużej prowadzą aktywną i efektywną politykę przemysłową. Z kolei tańsza energia powoduje większą liczbę centrów obliczeniowych i możliwości skalowania przemysłu. Widzimy to codziennie. Rozwój robotyki oraz technologii wojskowej w ostatnich latach musi robić wrażenie. Dlatego ważne jest, by USA w tym konflikcie mogły liczyć na wsparcie.

– Część krajów europejskich chyba jednak woli oglądać się na Chiny. Tu dobrym przykładem jest Francja.

– Tak, niestety, to prawda. Francja ma ciągle pewne niespełnione ambicje. Z jednej strony chciałaby zwielokrotniać swoją siłę poprzez wpływ na instytucje europejskie, bo tam jest ciągle stosunkowo mocna, z drugiej widzi siebie jako regionalne mocarstwo, które albo wyrzuci Amerykanów z Europy, albo przynajmniej bardzo mocno będzie równoważyć ich siłę. W tym celu chciałaby doprowadzić do sytuacji, kiedy Chiny zaoferowałyby Europie coś w rodzaju partnerstwa. W mojej ocenie taki scenariusz jest bardzo mało prawdopodobny, gdyż obecnie Europa nie jest dla Chin partnerem, tylko zdobyczą. Nasz kontynent nie jest miejscem, które Chiny chciałyby wspierać, tylko jest to miejsce, na którym chcą się budować, żeby nie powiedzieć żerować.

> ZNACZĄCA PRZEWAGA POPULACYJNA POWODUJE, ŻE CHIŃCZYCY MOGĄ „TRENOWAĆ” SWOJE TECHNOLOGIE NA DUŻEJ LICZBIE LUDZI I SZYBCIEJ ZBIERAĆ DANE.

– Pojawia się jednak pytanie, gdzie Europa pójdzie: bardziej w stronę USA czy Chin?

– Dużo więcej środków nacisku mają USA. Mówimy tu o pełnej zależności energetycznej, gospodarczej i militarnej Europy od Stanów Zjednoczonych. Kolejną ważną kwestią jest dostęp do dolara, który powoduje, że nie ma paniki w walucie euro czy długach państw europejskich. Rezerwa Federalna (bank centralny) USA i Departament Skarbu USA są gwarantem waluty euro, a co za tym idzie – stabilności finansowej różnych państw Starego Kontynentu. Mówiąc brutalnie, Stany Zjednoczone mają tutaj różne narzędzia zniszczenia, które mogłyby zastosować. Oczywiście Chiny też pewne mają. Odcięcie od niektórych kluczowych komponentów, zagroże-

eprasa.pl e015ce267c

nie przejęcia fabryk wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia ze wspólnymi, chińsko-europejskimi przedsięwzięciami, czy pełne wycięcie z chińskiego rynku. Jednak więcej argumentów jest po stronie USA. Do tej pory Amerykanie nie korzystali z tych instrumentów, tylko byli kimś w rodzaju przyjaznego negocjatora, który w sposób niekonfrontacyjny przypomina o pewnych zobowiązaniach. Gdy pojawił się Donald Trump, dyskusja przestała być grzeczna. Styl amerykańskiego prezydenta wywołuje pewne napięcia z sojusznikami, które są wykorzystywane przez część zachodnioeuropejskiego establishmentu do wywoływania antyamerykańskiego resentymentu. Tu bardzo ważne jest, by polscy politycy nie ulegali takim emocjom. Powinniśmy być jeszcze bardziej niż reszta Europy zainteresowani dobrymi relacjami ze Stanami Zjednoczonymi, ponieważ nasze bezpieczeństwo dzisiaj zależy głównie od USA. Pamiętam, że gdy wybuchła sprawa Grenlandii, bałem się, że retoryka amerykańskosceptyczna pójdzie u nas za daleko. Na szczęście zatrzymała się na akceptowalnym poziomie, ale warto w tej sprawie pozostać czujnym i monitorować polski rząd.

– Gdybyś miał zdefiniować, co leży dziś w polskim interesie, to jakbyś to nakreślił?

– Polskim interesem jest, by pomóc Stanom Zjednoczonym, aby chińska dominacja nie zaistniała, ale jednocześnie nie dopuścić do tego, by Europa się rozpadła jako związek polityczny i gospodarczy. Podzielona i skłócona Europa będzie stawać się coraz bardziej niebezpiecznym miejscem. Także dla średnich państw o niełatwym położeniu geograficznym jak my. Potrzebujemy, by Europa stała się partnerem Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie, by była partnerem szanowanym. Dzisiaj, mówiąc językiem trumpowskim, Europa „nie ma zbyt wielu kart", ale przecież nie jest tak, że nie może tego zmienić. Oczywiście, wiąże się to z pewnymi kosztami, których nie chcą ponieść niektórzy nasi zachodni sąsiedzi. Niemniej tu rzeczywistość już wkrótce może zadziałać niczym sole trzeźwiące. Europa już niedługo może być zmuszona, aby renegocjować swoją pozycję względem Chin, bo jeśli tego nie zrobi, to europejski przemysł się załamie. Bardzo możliwe, że będzie w tym potrzebowała pomocy USA, aby wytrzymać ewentualne chińskie reperkusje. Jeśli Europa chce przetrwać jako niezależny podmiot, to, w mojej ocenie, jest skazana na dokonanie manewru, który nazywam „odwróconymi Chinami".

EUROPA JUŻ NIEDŁUGO MOŻE BYĆ ZMUSZONA, ABY RENEGOCJOWAĆ SWOJĄ POZYCJĘ WZGLĘDEM CHIN, BO JEŚLI TEGO NIE ZROBI, TO EUROPEJSKI PRZEMYSŁ SIĘ ZAŁAMIE.

– „Odwrócone Chiny"?

–Kilkanaście lat temu Chiny zmuszały europejskich partnerów do określonych zachowań. Chcecie, drogie niemieckie koncerny samochodowe, sprzedawać auta w Chinach? To lokujcie tutaj produkcję poprzez spółki, w których 50% udziałów będą mieli chińscy partnerzy. Chcecie sprzedawać dobra wysoko przetworzone? W takim razie część wysokotechnologicznej produkcji musi się odbywać z udziałem chińskich podwykonawców. Takie warunki stawiało chińskie państwo. Celem było udomowienie zagranicznych technologii, w tym możliwości ich absorbcji przez rodzime firmy. Dziś to chińskie firmy mają przewagę, na przykład w segmencie baterii, aut elektrycznych, fotowoltaiki. I Unia chce postawić analogiczne warunki Chińczykom – w zamian za dostęp do europejskiego rynku Chińczycy muszą podzielić się produkcją i technologią. Taka jest treść proponowanego przez Komisję Europejską „Industrial Accelerator Act". Oczywiście Chiny są świadome tego planu, więc przeforsowanie zmiany reguł gry nie będzie łatwe. USA mogłyby pomóc tutaj Europie w tym resecie relacji chińsko-europejskich poprzez wytrącenie Chinom narzędzia szantażu, jakim jest zablokowanie rynku zbytu niemieckim koncernom oraz odcięcie od kluczowych komponentów. Ameryka mogłaby zadeklarować, że w przypadku takich chińskich działań tymczasowo zlikwiduje cła na europejskie dobra wjeżdżające do USA, dając Europie „poduszkę bezpieczeństwa". Długofalowo opłaciłoby się to też USA, bo reset relacji gospodarczych Unia – Chiny pozwoliłby na wyciek technologii z Państwa Środka. Ostatni rok naznaczony cłami narzuconymi przez USA całemu światu spowodował, że opłacalność handlu międzynarodowego Chin znacząco się pogorszyła. Ich mocna pozycja eksportowa utrzymywana jest kosztem olbrzymich subsydiów. Reset z Europą oznaczałby pogorszenie warunków chińskiej wymiany handlowej i trudniejsze finansowanie skoku technologicznego. A to ten właśnie wyścig może zdecydować o tym, kto narzuci światu warunki w tym stuleciu.

Krzysztof Mroczkowski jest publicystą, ekonomistą i historykiem, członkiem stowarzyszenia „Pacjent Europa" i stałym współpracownikiem „Nowego Obywatela".

eprasa.pl e015ce267c

Sieć tkana przez dekady

– Indie mogą samodzielnie wytyczyć granice Rosji! – powiedział w styczniu w Waszyngtonie znany kongresman Rick McCormick, republikanin. Jego zdaniem handlowa potęga Indii jest w odniesieniu do Moskwy tak wielka, że mogą one dyktować jej warunki, i Delhi powinny odegrać decydującą rolę w „**zmiażdżeniu Rosji**" – bez zaangażowania do tego wojsk amerykańskich.

Piotr Skwieciński

Republikanin starego, przedtrumpowego typu, Rick McCormick, oczywiście przesadził, i to bardzo. Ale ta jego przeskalowana, życzeniowa diagnoza nie wzięła się też znikąd.

Nie wzięła się znikąd, mimo że myślenie o „miażdżeniu Rosji" jest Hindusom całkowicie obce.

Najbardziej prorosyjscy na świecie

Po pierwsze, oni Rosję lubią, i to bardzo. Według badań Pew Research Center z zeszłego roku społeczeństwo Indii jest – po Indonezji – najbardziej prorosyjskie w skali ogólnoplanetarnej, Władimir Putin zaś jest jednym z tych zagranicznych przywódców, którym indyjscy respondenci najbardziej ufają.

Można powiedzieć, że Indie są z Rosją niejako emocjonalnie zrośnięte. Wynika to i z historii, i z teraźniejszości.

Od samego początku istnienia niepodległych Indii rządzący nimi fascynowali się Związkiem Radzieckim i w pewnym zakresie usiłowali się na nim wzorować (zachowując jednak instytucje demokratyczne z naprawdę wolnymi wyborami na czele). Indie w sporym zakresie współdziałały z Moskwą, pozostawały natomiast w – momentami zbrojnym – konflikcie z Pakistanem, popieranym przez Stany Zjednoczone. Moskwa niejednokrotnie swoim wetem blokowała w Radzie Bezpieczeństwa ONZ niekorzystne dla Delhi rezolucje. A w 1971 roku, w czasie kolejnej wojny, wysłała na Ocean Indyjski silne eskadry wojenne, co – wierzą do dziś Hindusi – powstrzymać miało USA przed interwencją zbrojną na korzyść



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e015ce267c

Pakistanu. W Indiach pamięta się o tym wszystkim. „Nigdy nas nie zawiedli” – taki jest najczęstszy odzew Hindusów na pytanie, z czym przede wszystkim kojarzy im się Rosja.

Do 1991 roku ZSRR, a potem – Rosja dostarczały Indiom na masową skalę uzbrojenie. Jeszcze obecnie około 70 procent indyjskiej broni to albo import z Rosji, albo też kolejne, dokonywane przez hinduskich inżynierów, modernizacje broni rosyjskiej.

ZSRR, a później, aż do dziś (a po rozpoczęciu agresji na Ukrainę – ze zdwojoną siłą) Rosja konsekwentnie buduje w Indiach swoją soft power i wizerunek. Ponieważ postępuje tak – powtórzmy – bardzo konsekwentnie i nie szczędząc środków od wielu dziesięcioleci, ma efekty.

Rosyjskie uczelnie rok w rok opuszczają kolejne pokolenia hinduskich absolwentów przywożących do ojczyzny sentyment wobec Moskwy, ale przede wszystkim – z wbudowanym rosyjskim sposobem postrzegania i historii, i współczesnego świata. Uważających np. za naturalną jeśli nie przynależność Ukrainy do Rosji, to co najmniej konieczność uwzględniania „uzasadnionych interesów bezpieczeństwa” tej ostatniej (tę frazę i ten postulat zawierały dotyczące kryzysu wokół Ukrainy indyjskie dyplomatyczne dokumenty przed 24 lutego 2022 r.) i odnoszących się ze zrozumieniem do rosyjskich obaw przed rozszerzaniem NATO na wschód.

> BARDZO DUŻA CZĘŚĆ INDYJSKICH DYPLOMATÓW TO ABSOLWENCI MGIMO.

Obrońcy suwerenności...

Bardzo duża część indyjskich dyplomatów to absolwenci MGIMO (Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych).

Spory odsetek nauczających na uczelniach historii nie tylko wschodniej Europy, ale w ogóle Europy – to niegdysiejsi absolwenci i doktoranci uniwersytetów rosyjskich. Wszystko to rodzi określone skutki w dziedzinie świadomości, które mogą się jeszcze spotęgować – po rozpoczęciu pełnoskalowej agresji liczba indyjskich studentów w Rosji nie maleje, tylko rośnie, przy czym bardzo szybko. A jeśli chodzi o migrację do Rosji za pracą, to w zeszłym roku Hindusi wskoczyli w tej kategorii na drugie miejsce wśród krajów nienależących niegdyś do ZSRR.

To ostatnie intensyfikuje również więzy ekonomiczne. Dotąd bardzo silne, jeśli chodzi o przemysł zbrojeniowy, i od wybuchu wojny o import ropy (przed 2022 r. był on śladowy, potem błyskawicznie wzrósł wielokrotnie i obecnie Indie, jeśli chodzi o sprowadzanie tego rosyjskiego surowca, znajdują się na drugim miejscu po Chinach), ale śladowe, jeśli chodzi o w zasadzie całą resztę gospodarki. Jednak w krótkim czasie pieniądze wysyłane do domów



eprasa.pl e015ce267c

przez indyjskich gastarbeiterów mają szanse stać się zauważalnym czynnikiem w indyjskiej ekonomice.

Indie i Rosję łączyła dotąd również w pewnym stopniu wspólnota ideologiczna. Oba państwa deklarowały sprzeciw wobec liberalnej krucjaty realizowanej przez Zachód w krajach Globalnego Południa i praktyki ingerowania w ich sprawy wewnętrzne (Rosja, jeśli brać pod uwagę nie to, co robi, tylko to, co mówi, jest od wielu dekad konsekwentnym obrońcą zasady prymatu suwerenności poszczególnych państw nad, we wszelki możliwi sposób motywowanym, mieszaniem się w ich wewnętrzną politykę).

...i jeszcze Chiny

Pomimo naszkicowanych powyżej wieloletnich więzów z Moskwą pełnoskalowa agresja na Ukrainie nie wywołała wśród Hindusów entuzjazmu. Na konferencji Szanghajskiej Organizacji Współpracy w 2022 roku premier Narendra Modi delikatnie wytknął ją Putinowi, przypominając rosyjskiemu przywódcy, że przecież dzwonił do niego i perswadował, że dzisiejsza era nie jest erą, w której wojna byłaby naturalna, bo dziś ważne są nawozy, swobodą) rosyjskich mediach o to, aby nie relacjonowały one tej sprawy, żeby wyciszyć konflikt, którego bardzo, ale to bardzo nie chciał.

> DOBRE RELACJE Z KREMLEM SĄ DLA DELHI SPOSOBEM NA OGRANICZENIE ZACIEŚNIANIA SIĘ, GROŻĄCEGO ZDOMINOWANIEM AZJI, NIEPISANEGO SOJUSZU MIĘDZY MOSKWĄ A PEKINEM.

Jak ważne dla Rosji – nie tylko teraz, ale od długiego czasu – są i były relacje z Indiami, obrazuje incydent z 2012 roku. Wtedy w Moskwie zaczynała nabierać skrzydeł kampania „antyekstremistyczna" (nakierowana na stopniowe przykręcanie śruby, pod pozorem walki z ekstremizmem, demokratycznej opozycji). I jakiś rozgrzany tą kampanią sędzia z Syberii podjął decyzję o wpisaniu na listę zakazanej „ekstremistycznej" literatury... hinduistycznej świętej księgi, eposu „Mahabharata". Informacja o tym przedostała się do indyjskich mediów i wzburzyła Hindusów, co stało się przyczyną jedynych w historii tego kraju demonstracji antyrosyjskich. Otóż Kreml bardzo intensywnie zabiegał wtedy w (cieszących się wówczas jeszcze relatywną żywność, demokracja i dialog.

Na Putnie nie wywarło to większego wrażenia, bo we wszystkim, co związane z Ukrainą, Rosjanie w ogóle są niezwykle zdeterminowani. Ale też dlatego, że świetnie wiedział, iż nie tylko Rosja inwestowała w „prawie sojusz" (sojuszu prawdziwego Delhi nie chcą zawierać z nikim, preferując całkowitą swobodę w realizacji swoich interesów) z Indiami. Inwestowały również te ostatnie, dokonanie radykalnego zwrotu kosztowałoby je wiele.

Putin wiedział, i wie, coś jeszcze. Mianowicie, że – jak pisał indyjski politolog i historyk Zorawar Daulet Singh – w Indiach powszechne jest przekonanie, że pierwszoplanowym interesem tego kraju jest umożliwienie Stanom dokonanie skutecznego pivotu na Pacyfik, co zwiąże ręce, środki i energię ich podstawowego konkurenta i potencjalnego zagrożenia, czyli Chin. Aby zaś pivot stał się realny, konieczne jest zakończenie konfliktu na Ukrainie. Przy czym zakończenie go w sposób nie owocujący frustracją i rewanżyzmem ze strony Rosji, co wymuszałoby utrzymanie zaangażowania USA w Europie. I generalnie dobre relacje z Kremlem są dla Delhi sposobem na ograniczenie zacieśniania się, grożącego zdominowaniem Azji, niepisanego sojuszu między Moskwą a Pekinem. Innymi słowy, Delhi jest zainteresowane jeśli nie rosyjskim zwycięstwem, to co najmniej brakiem rosyjskiej porażki nad Dnieprem, i również z tego powodu – liczył Putin – nie przejdzie ono do obozu prokijowskiego.

Tym bardziej że takiej ewentualnej zmianie, łagodnie mówiąc, nie sprzyjają też chaotyczne i dokonywane z gracją słonia ruchy Donalda Trumpa.

Za co te cła?

Rosja w kontaktach z Indiami (i nie tylko) konsekwentnie buduje bowiem opinię o sobie jako o partnerze solidnym i przewidywalnym. Tymczasem Trump, który w okresie pierwszej kadencji kontynuował, realizowaną od lat 90. przez kolejnych prezydentów, strategię stopniowego budowania mostów do, nieprzyjaznych w czasie zimnej wojny, Indii, perspektywicznie potrzebnych jako główny element koalicji antychińskiej, po dojściu po raz drugi do władzy zaczął prowadzić wobec Delhi politykę gwałtownych i ciężkich do przewidzenia zwrotów.

Zaczęło się wprawdzie od wizyty wiceprezydenta J.D. Vance'a, którą złożył premierowi Modiemu wraz ze swoją hinduską żoną i przebranymi na tę okazję w indyjskie stroje narodowe, rozmawiającymi z hinduskim przywódcą w jego języku, córeczkami. Ogłoszono wtedy szumnie strate-

eprasa.pl e015ce267c

giczne partnerstwo między Ameryką a Indiami.

Tylko że nie przetrwało ono nawet kilku miesięcy, gdy POTUS podjął działania silnie antagonizujące świeżo upieczonego „strategicznego partnera". Najpierw masowe deportacje niezalegalizowanych imigrantów dosięgły również obywateli indyjskich – i Hindusi na ekranach zobaczyli swoich rodaków odstawianych w kajdankach do samolotów. Potem nastąpiła kolejna odsłona konfliktu indyjsko-pakistańskiego – Trump ogłosił, że to on doprowadził do jej przerwania (więc należy mu się Nobel), przeciw czemu zaoponował Modi (twierdząc, że działania zbrojne zakończyła siła armii indyjskiej), które to dementi uraziło ego prezydenta. Przez cały czas drażnił go też amerykański deficyt w handlu z Indiami, który pomiędzy jego pierwszą a drugą kadencją wzrósł o połowę.

Wreszcie Trump nagle i bez zapowiedzi ogłosił karne cła na indyjskie towary. Teoretycznie za kupowanie taniej rosyjskiej ropy. Ale w samych Indiach (i w Rosji) tę ropę uznano raczej za pretekst dla uderzenia w zbyt szybko rozwijającą się, i zagrażającą Trumpowym planom reindustrializacji Ameryki, gospodarki Indii. Jak lakonicznie skomentował czołowy putinowski analityk międzynarodowy Fiodor Łukianow, w opinii Waszyngtonu: „wbudowanie Indii w system, który USA uważają za odpowiadający ich interesom, stało się ważne nie tylko samo w sobie, ale też jako precedens". Tak czy inaczej – w opinii Hindusów ich państwo, przed chwilą ogłaszane strategicznym partnerem, zostało nagle potraktowane jak wróg, co Hindusi dostrzegli.

Z czego nie wynika, aby żachnęli się godnościowo, bo w ich pojęciu podstawowym elementem suwerenności nie jest obrona honoru, tylko własnych interesów. A eksport do USA jest dla Delhi ważniejszy niż rosyjska ropa, nawet najtańsza (przed 2022 r. praktycznie przez Indie nie importowana – jej kupowanie jest więc dla nich kwestią zysku, a nie przeżycia). Hindusi zaczęli więc dogadywać się z USA i zmniejszać import z Rosji. Negocjowali też umowę handlową ze Stanami, również z Kanadą i z Unią Europejską (ta trzecia, już sfinalizowana, daje potencjalną możliwość stworzenia gospodarczego bloku Europy z Indiami, co byłoby bardzo znaczącą przeciwwagą dla relacji rosyjsko-indyjskich, wciąż niemal całkowicie zdominowanych przez ropę, zbrojeniówkę i energetykę jądrową).

EKSPORT DO USA JEST DLA DELHI WAŻNIEJSZY NIŻ ROSYJSKA ROPA, NAWET NAJTAŃSZA.

Tylko że nastąpił atak na Iran, wbrew przewidywaniom Białego Domu nie zakończony błyskawicznym zwycięstwem. Blokada Cieśniny Ormuz wymusiła na Trumpie zgodę na zwiększenie przez Indie zakupów rosyjskiej ropy, co wywróciło stolik i uczyniło przyszłość jeszcze trudniej niż dotąd przewidywalną.

BLOKADA CIEŚNINY ORMUZ WYMUSIŁA NA TRUMPIE ZGODĘ NA ZWIĘKSZENIE PRZEZ INDIE ZAKUPÓW ROSYJSKIEJ ROPY.

***

Reasumując – trudno mi podzielić optymizm wielu ekspertów z uporem powtarzających, że rosyjsko-indyjski „prawie sojusz" skazany jest na atrofię. Być może byłoby tak, gdy Biały Dom prowadził wobec Indii konsekwentną politykę zbliżenia, co jednak się nie dzieje. Dlaczego zatem na początku tego tekstu oceniłem optymistyczne uwagi kongresmana McCornicka jako tylko w części przesadne?

Dlatego że gdyby naprawdę Zachodowi, rozumianemu jako Waszyngton czy Bruksela, udało się doprowadzić do bodaj częściowej zmiany dotychczasowej polityki Delhi wobec Moskwy, byłoby to wstrząsem tektonicznym w misternie snutej przez dekady sieci rosyjskich wpływów. I to niezależnie od redukcji rosyjskich zysków ze sprzedaży ropy. Indie, jak starałem się wykazać wyżej, zajmowały w tej sieci zawsze miejsce szczególne. Bodaj częściowe opuszczenie jej przez Delhi byłoby zauważone na całym Globalnym Południu. Oznaczałoby, że skierowana przeciw Zachodowi „antykolonialna" retoryka Moskwy przestaje być tam bezkrytycznie przyjmowana. Wytyczone zostałyby nowe trendy.

A Indie są – jak pisałem – nad wyraz pragmatyczne.

Obawiam się jednak, że do osiągnięcia tego celu potrzeba byłoby drobiazgu – innego lokatora Białego Domu. Niezależnie bowiem od tego, czy uznamy, że Donald Trump realizuje jakiś generalny plan, czy też nie, sinusoida jego działań – w wielu miejscach, ale wobec Indii szczególnie – jest po prostu kontrskuteczna.

A Moskwa wygląda na tym tle jako partner może nie idealny, ale – po prostu – solidny.

eprasa.pl e015ce267c

Globalne przemiany a Trójmorze

Tomasz Pysiak

Co chwila z różnych mediów słychać głosy ekspertów, polityków i dziennikarzy twierdzących, że rodzi się nowy porządek świata. Słyszymy o nowym rozdaniu w globalnej polityce o wielkich przetasowaniach. Jednym słowem cała opinia publiczna jest zaniepokojona tym, jak będzie wyglądała przyszłość. Jej niepewność i nieprzewidywalność bardzo mocno wybudziła nas z letargu, nas przyzwyczajonych do względnej stabilizacji. Słyszeliśmy o wielkich niepokojach, wojnach i zawirowaniach politycznych oraz społecznych, ale nie dotykały nas bezpośrednio, bo nie oddziaływały na nas oraz globalnie. Dla większości obywateli krajów Zachodu z tego naszego bezpiecznego i w miarę ustabilizowanego świata wyrwała nas na początku pandemia COVID-19, która mimo że zmieniła nasze postrzeganie, wywierając duże piętno na globalnym społeczeństwie, jednak w kontekście geopolitycznym nie miała istotnego znaczenia. Duży wpływ miała późniejsza inwazja Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 roku. Na wydarzenia te jednak należy patrzeć jako „punkty przyśpieszenia" zmian, a nie ich przyczyny. Świat intensywnie się zmieniał i ewoluował. Jak sięgniemy pamięcią wstecz i popatrzymy na działania dotykające najdelikatniejszą tkankę społeczną, to oprócz tego oraz twardej geopolityki i rywalizacji amerykańsko-chińskiej jako najważniejszego sporu we współczesnym rozkładzie sił na świecie (nie zapominajmy też o rosnącej roli Indii), jest jeszcze wiele innych procesów. Jednym z nich jest starcie cywilizacji, o którym pisał św. Jan Paweł II między innymi w encyklice „Evangelium vitae" z 1995 roku o cywilizacji życia i śmierci. Ten spór mocno się zaostrzył i objął sferę szeroko idących negatywnych deformacji społecznych, dotyczących zarówno najdelikatniejszych sfer ludzkiego życia jednostkowego, jak i społecznego, przekształcając się w atak antykultury, jaką jest ideologia woke-gender na cywilizację wartości i zachowania „kultury Zachodu". Oczywiście problem ten nie jest nowy i nie będę również rozwijał go szerzej, jednak jego nasilenie staje się faktem i wpływa na naszą rzeczywistość. Wszystkie te spory – nie wspomniałem jeszcze o „zielonej ideologii" wpływającej destrukcyjnie na społeczeństwo – mocno łączą się ze sobą, budując „czas zmiany".

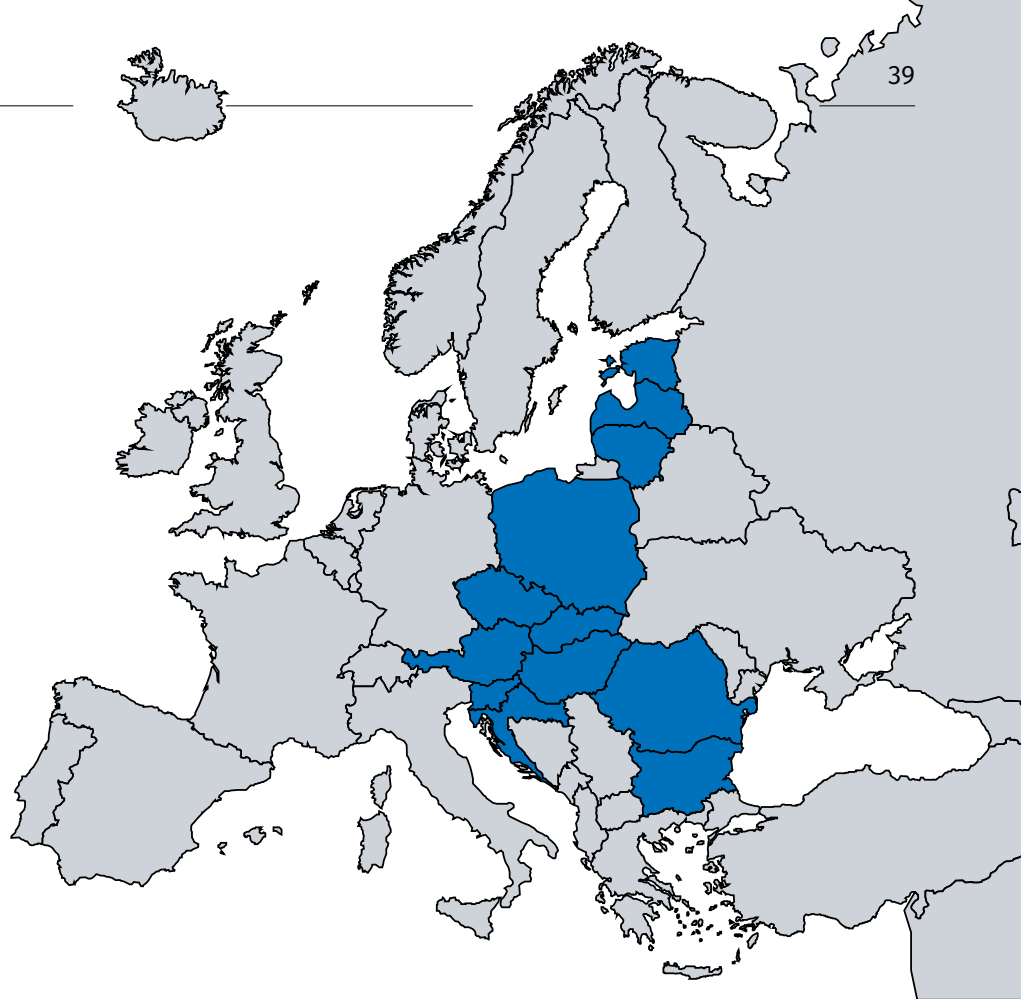
Wszystkie powyższe sprawy wpływają na Polskę i na Unię Europejską (UE). UE jest ofiarą i sprawcą tych negatywnych przemian i zamiast dokonać odpowiedniej oraz konstruktywnej korekty, to wręcz przeciwnie – podróż po tych zgubnych torach, które prowadzą do przepaści, przyspiesza jeszcze bardziej. Działa ona w myśl logiki



inżyniera Mamonia z filmu „Rejs", który twierdził, że najlepsze są te melodie, które się już słyszało. UE odtwarza więc cały czas te same melodie, ale niestety dla dyrygentów z Brukseli (Niemiec) nie wszyscy członkowie tej orkiestry chcą grać to samo. Dlatego UE dąży do stworzenia potworka w postaci superpaństwa, aby wszyscy w tej orkiestrze grali na tę samą zgraną nutę, co było przyczyną zaciekłych ataków przed 13 grudnia 2023 roku na Polskę, stąd również naciski na inne kraje naszego regionu. Brukselskie elity wręcz żądają odgrywania melodii dotyczącej: zmiany ideologicznej, zielonego szaleństwa w postaci ETS i ETS2 i odebrania państwom suwerenności. Melodia ta ma być jedna i monotonna.

Obecny polski rząd stara się być aktywnym członkiem tej orkiestry, co nie jest dobrą dla nas informacją, ponieważ zarówno my, jak i nasz

eprasa.pl e015ce267c



region Europy Środkowej i Wschodniej musimy uderzać w swoje tony. To jest nasze być albo nie być. Należy skupić się na dobrych rozwiązaniach i je rozwijać – tu mowa jest o Trójmorzu. Jest to Polska myśl geopolityczna wywodząca się jeszcze z koncepcji Międzymorza, ale luźno nawiązująca do koncepcji Jagiellońskiej, która została „wskrzeszona" dzięki prezydentowi prof. Lechowi Kaczyńskiemu i ubrana w nową formułę współpracy przez prezydenta dr. Andrzeja Dudę w 2016 r. po słynnym szczycie w Dubrowniku w Chorwacji. Powstał wtedy format zwany Inicjatywą Trójmorza, który dał impuls do działania do współpracy w naszym regionie. Mocno zaangażowały się w to Stany Zjednoczone już od pierwszej kadencji prezydenta Donalda Trumpa.

Format ten jest dużo szerszy niż już okrzepła Grupa Wyszehradzka, potrzeba jednak ciągłej pracy, by dalej się rozwijał. Wszyscy, którzy kibicują i kibicowali idei współpracy w Regionie Europy Środkowej i Wschodniej, odetchnęli z ulgą po wygranych wyborach prezydenckich przez dr. Karola Nawrockiego. Jest on silnym filarem trwania tej inicjatywy i tej idei, którą polski rząd pod wodzą Donalda Tuska traktuje – piszę bardzo delikatnie i dyplomatycznie – po macoszemu. Dużą szansą jest rozszerzenie formatu na kolejne kraje i zwiększenie możliwości gospodarczego i politycznego oddziaływania. Koniecznym stanie się ustrukturyzowanie obecnej Inicjatywy Trójmorza oraz rozszerzenie tej współpracy. Te zadania nie są łatwe i zdaję sobie sprawę, że będą nie w smak obecnej grającej brukselsko-berlińskiej orkiestrze. Bardzo ważne jest wzmocnienie w tym zakresie współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Inicjatywa ta też nie jest kontrą do UE, jak mogą argumentować fanatycy superpaństwa, jest ona po prostu rozwijaniem współpracy, która może wpływać pozytywnie także na rozwój całej UE i Europy. Wspólnota Narodów Trójmorza, w razie porażki projektu zwanego UE, może być swoistym miękkim lądowaniem, a nie od dziś przecież wiadomo, że przezorny zawsze ubezpieczony.

W tych niespokojnych czasach Trójmorze jest szansą, która została zapoczątkowana poprzez poprzednich prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej, jest też wyzwaniem dla obecnego prezydenta. Budowanie i rozwój Wspólnoty Narodów Trójmorza jest szansą, która jest cały czas obecna i dzieje się na naszych oczach. To od nas będzie zależało, w którą stronę pójdzie. Trójmorze i rozwijanie tej inicjatywy jest również okazją, której jeszcze w naszej historii nie było. Teraz zależy od nas, czy ją wykorzystamy. Szczególnie jest to istotne w kontekście przemian, jakie dzieją się na naszych oczach. Musimy działać na rzecz Trójmorza i jego rozwoju we współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, tworząc narzędzie do zapewnienia Polsce pokoju, dobrobytu i stabilności.

Artykuł pochodzi z „Magazynu Optyka Schumana".

Autor jest socjologiem zajmującym się geopolityką. Ekspertem Instytutu Myśli Schumana i prezesem Schuman Trimarium Forum.

eprasa.pl e015ce267c



Fot. AGBOHDANOWICZ (3)

FABRYKA

pod różowym flamingiem

Oszukały lekarzy, rodziców, polityków i w twarz śmieją się samemu Bogu. Gajuszątka. Księżniczki i książęta z łódzkiego hospicjum **nie mają czasu** na jego marnowanie. Wysysają z każdego dnia sto procent, pokonują kolejne ograniczenia i cieszą się każdym oddechem.

Barbara Andrijanić

eprasa.pl e015ce267c

Od dawna nosiłam się z zamiarem napisania o łódzkiej fabryce cudów, którą nie bez przesady można nazwać ziemią obiecaną dla wielu rodzin z województwa łódzkiego w sytuacji, kiedy dostają wyrok śmierci.

Szansa na spotkanie

Kiedy rodzi się dziecko, niewiele osób myśli o tym, co przyniesie jego wychowanie. Jest radość, przygotowania na narodziny, oczekiwanie na spotkanie. W tym czasie co roku nawet kilka tysięcy rodziców słyszy diagnozę, która stawia ich przed podjęciem chyba najtrudniejszej decyzji. Rozwiązanie „problemu" wydaje się proste, a jednak w Łodzi lekarze oraz pracownicy hospicjum perinatalnego Fundacji Gajusz przekonują rodziców, że nie zostaną sami z diagnozą, która wcześniej czy później zakończy się odejściem ich dziecka. Szczęściarze? Jak bardzo głupio by to zabrzmiało, tak. W Polsce co roku rodzi się od 7 do 10 tys. dzieci z poważnymi, wrodzonymi wadami rozwojowymi oraz chorobami genetycznymi (wśród nich około 1000 z wadami letalnymi, którymi opiekują się hospicja). Wiele z tych schorzeń ma charakter przewlekły lub nieuleczalny, potrzebna jest stała opieka i rehabilitacja przez całe życie. Dzieci z Łodzi dostają szansę, która wielu maluchom z chorobami nieuleczalnymi jest dziś odebrana. Praktyka pokazuje, że najczęstszym rozwiązaniem takiego problemu w Polsce wciąż nie jest próba leczenia chorego dziecka ani realne wsparcie rodzin w tej sytuacji, ale tzw. terminacja ciąży. W Gajuszu rodzice dostają wszystkie informacje potrzebne do podjęcia decyzji. I podejmują ją sami.

Co mówi prawo?

Zgodnie z ustawą dzisiaj w Polsce ciążę wolno przerwać pod dwoma warunkami, gdy stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej lub gdy ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo, obcowanie płciowe z małoletnim poniżej 15 lat). Obowiązujące przepisy opierają się na ustawie z 1993 roku, z późniejszymi zmianami. Najważniejszą było orzeczenie TK z października 2020 r., które wyeliminowało trzecią przesłankę legalnej aborcji, jaką była ciężka i nieodwracalna wada płodu. Do tej pory wada genetyczna, jaką jest zespół Downa (trisomia 21) kwalifikowała się w interpretacji wielu lekarzy jako „ciężkie upośledzenie płodu", co umożliwiało legalne przerwanie ciąży. Statystyki, nie tylko polskie, pokazują, że właśnie dzieci z podejrzeniem trisomii były (i są nadal) najczęściej zabijane. Mimo że ich wada nie zagraża ani ich życiu, ani życiu mam. Kiedy w 2020 roku Trybunał Konstytucyjny stanął po ich stronie, orzekając ochronę prawną dzieci m.in. z zespołem Downa, w środowisku sióstr feministek zawrzało. Wystarczyły cztery lata, aby nowy rząd pod kierunkiem minister zdrowia Izabeli Leszczyny wymyślił obejście postanowienia TK i konstytucji, tworząc wytyczne, zgodnie z którymi określenie zagrożenia życia zostało rozszerzone o zdrowie psychiczne matki. Oto efekt: W 2024 roku w polskich szpitalach zabito 886 nienarodzonych dzieci (tylko 3 z powodów innych niż przesłanka psychiczna, rok wcześniej 425 i tylko 2 w wyniku czynu zabronionego), a w pierwszej połowie 2025 roku było ich już 411. Liczba aborcji zbliża się do poziomu sprzed wyroku Trybunału Konstytucyjnego (1110 w 2019 r., z czego prawie 65% to dzieci z trisomią 21).

> DZIECI Z PODEJRZENIEM TRISOMII BYŁY (I SĄ NADAL) NAJCZĘŚCIEJ ZABIJANE. MIMO ŻE ICH WADA NIE ZAGRAŻA ANI ICH ŻYCIU, ANI ŻYCIU MAM.

Czy to na pewno ochrona?

Problem wydaje się rozwiązany, bo dzięki zaświadczeniu jednego lekarza psychiatry orzekającego o złym stanie psychicznym matki dziecko dostaje wyrok śmierci. Nie tylko chore na nieuleczalną chorobę, nie tylko to z trisomią, to może być też dziecko zdrowe, na co zwraca uwagę na stronie Fundacji Proelio jej prezes Magdalena Korzekwa-Kaliszuk. Takie jest tło, które dziś doprowadziło do jeszcze większego spolaryzowania społecznego w zawsze gorącym temacie aborcji. Jedni za podjęcie takiej decyzji chcą karać nawet matki, inni, jak „Wyborcza", stawiają samych sprawców aborcji jako przykład do naśladowania. Kuriozum jest pomysł dodatku „Wyborczej", który do tytułu superbohaterki roku wytypował aborcjonistkę Gizelę Jagielską.

Ale wróćmy do Gajusza. Dziś opowiem o jednym z 19 miejsc w Polsce, które bez osądzania kobiet stających przed najtrudniejszą decyzją w życiu pokazuje im inne rozwiązanie niż zabicie dziecka, u którego stwierdzono nieuleczalną chorobę.

W Łodzi pod różowym flamingiem działa Fundacja, która od 28 lat wspiera całe rodziny

eprasa.pl e015ce267c

w najtrudniejszym momencie, gdy dowiadują się o chorobie ich najmłodszego dziecka, brata, siostry i wnuczka.

Mój wybór

Hasła sióstr feministek o możliwości wyboru, czy dokonać aborcji, czy nie, są kłamstwem. Wystarczy popatrzeć na mapę Polski z prowadzonymi przez nie domami samotnej matki. Wieje pustką jak ze znaczka pewnego ugrupowania głośno walczącego o prawa kobiet. Oczywiście tych, które już się urodziły. Wybór głoszony przez feministki jest jeden. Pomożemy ci zabić twoje dziecko. Choroba nie jest konieczna, pieniądze, jak najbardziej. Lobby aborcyjne nie pozostawia złudzeń. To doskonały interes realizowany pod hasłem prawa do własnego ciała, komfortu życia, rozwoju zawodowego. Uśpione sumienie lekarza nonszalancko stawiającego diagnozy doprowadziło do tego, że dziś ofiara niekompetencji jednego z nich jest skazana za to, że ostrzegła przed nim inne kobiety. W momencie pisania tego tekstu pani Weronika, matka trójki dzieci, nie godząc się na przeprosiny lekarza, który namawiał ją do aborcji dziecka, u którego stwierdził podejrzenie trisomii 21 – oczywiście w jego gabinecie – odbywa karę prac społecznych, a nawet może trafić do więzienia. Na szczęście kobieta zasięgnęła innej opinii i dzisiaj jej dziecko żyje i jest zdrowe.

To wielka niesprawiedliwość...

...że wiele kobiet nie dostaje szansy wyboru, a przecież zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem powinny go mieć.

Działające w Polsce hospicja perinatalne dzięki zmianom legislacyjnym (od 2017 r.) posiadają kontrakt z Narodowym Funduszem Zdrowia, co zapewnia finansowanie opieki paliatywnej nad noworodkiem i jego rodziną. Wszystkie mimo wsparcia systemowego funkcjonują przy organizacjach pozarządowych, często dotowanymi ze środków prywatnych i z 1,5% podatku.

Świadczenia w ramach hospicjum perinatalnego, domowego i stacjonarnego, są nieodpłatne. Pacjentom oferowana jest opieka lekarska, pielęgniarska, psychologiczna, ale – jak się okazuje – równie ważne jak medyczne jest wsparcie duchowe. Rodziny tworzące hospicja domowe mogą liczyć na nieodpłatne wypożyczenie sprzętu medycznego. Przejęcie opieki nad chorym przez państwo skutecznie uszczupliłoby dochody gabinetów aborcyjnych. Czy dlatego lekarze nie informują o hospicjach perinatalnych?

PO STRACIE DZIECKA CIERPIĄ NIE TYLKO RODZICE. OSAMOTNIENI ZOSTAJĄ BABCIA I DZIADEK, RODZEŃSTWO I WOLONTARIUSZE I CIOCIE Z HOSPICJUM.



Potrzeba rozwiązań prawnych

Na pytanie, czy istnieją zalecenia resortu zdrowia dla lekarzy ginekologów o konieczności informowania pacjentek o bezpłatnej pomocy hospicjów perinatalnych, takie jak zostały przedstawione w kwestii aborcji, oraz czy lekarze nieprzedstawiający takich informacji są karani, tak jak szpitale odmawiające informowania o szpitalach wykonujących aborcje, rzecznik Fundacji Gajusz Aleksandra Marciniak stwierdziła: – To jest ogromny problem, bo tu nie są potrzebne zalecenia, ale konkretne rozwiązania prawne. O to właśnie apelujemy w naszej petycji „Lekarz, NIE dr Google" – o zmiany w rozporządzeniu. I nie

eprasa.pl e015ce267c

chodzi nam o karanie, ale przede wszystkim o wykazanie korzyści. Bo pomoc hospicjum perinatalnego to wsparcie i dla pacjentów, i dla lekarzy oraz całego zespołu szpitala, który opiekuje się ciężarną.

Debata nad obowiązkowym kierowaniem przez ginekologów pacjentek w przypadku stwierdzenia wad letalnych do hospicjów perinatalnych jest elementem szerszej dyskusji nad dostępem do opieki paliatywnej. Wątpliwości co do interpretacji obecnych przepisów aborcyjnych wiosną zeszłego roku wyraziło Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników. Stało się to po zabiciu dziecka z diagnozą wrodzonej łamliwości kości, w 36. tygodniu ciąży. (Z chorobą tą żyje w Polsce ponad 1000 osób). Zarząd zapytał minister Leszczynę, czy można przerwać ciążę po 24. tygodniu, kiedy płód potencjalnie zdolny jest do życia, ale zagrożone jest zdrowie lub życie kobiety. W odpowiedzi Ministerstwo Zdrowia poinformowało, że przepisy nie określają terminu przerwania ciąży w sytuacji, gdy zagraża ona życiu lub zdrowiu ciężarnej. Wydarzenia ostatnich lat pokazują jedno. Rząd woli karać szpitale na kontraktach z NFZ, w których powołanie się lekarza na klauzulę sumienia jest uznawane za naruszenie umowy z NFZ (na liście aborcyjnych sankcji znajduje się dziś 5 szpitali) i prześladować obywateli, którzy odważyli się naruszyć „dobre imię" lekarza. Sądy w Starogardzie Gdańskim oraz w Gdańsku skazały wspomnianą wyżej panią Weronikę, mimo że ginekolog Piotr A. usłyszał w 2008 roku wyrok za nielegalne aborcje w gabinecie przy ul. Przemyskiej w Gdańsku.

Odciąć problem?

Nie da się. Bo to nie problem wyrostka robaczkowego, po którym przecież też mogą pojawić się powikłania. To człowiek. Chory czy zdrowy.



– Kiedy umiera człowiek, to zawsze jest dramat – tłumaczy Magdalena Korzekwa-Kaliszuk. Czy po aborcji, czy po poronieniu, czy po porodzie dziecka, które zmarło w łonie mamy, nie przestaniesz być matką. Będziesz matką zmarłego dziecka – dodaje. Paradoksalnie problem zepchnięty do podświadomości może wypłynąć po latach, a nawet dotknąć pozostałych członków rodziny. Doskonale wiedzą o tym pracownicy hospicjów. Działają jak najlepiej zorganizowany organizm. Wiedzą, że po stracie dziecka cierpią nie tylko rodzice. Osamotnieni zostają babcia i dziadek, rodzeństwo i wolontariusze i ciocie z hospicjum, które zdążyły się związać z małymi Gajuszątkami.

Grupą priorytetową dla pracowników Gajusza są dzieci żyjące w cieniu choroby rodzeństwa. Dzięki programowi ich wsparcia specjaliści dbają o to, aby pozostały dziećmi i nie musiały rezygnować z własnych potrzeb. „Ala świetnie rysuje, a poza tym bezbłędnie obsługuje koncentrator tlenu, który pomaga oddychać jej starszemu bratu. Janek ma 12 lat, w styczniu wybrał trumnę dla swojej 3-letniej siostry".

Gajusz mocno wspiera swoich pracowników, ponieważ każdy z nich przeżywa dramat odejścia na swój sposób. Dlatego powstał parasol ochronny dla stających codziennie twarzą w twarz ze śmiercią w postaci superwizji. O cierpieniu trzeba mówić, bo tu wypalenie stoi za rogiem.

Fundacja Gajusz dzięki wsparciu tysięcy darczyńców radzi sobie nieźle. Ich obecność w mediach społecznościowych, pokazywanie historii Gajuszątek, które oszukują swoich lekarzy i każdego dnia witają ich zalotnym uśmiechem, informując, że to jeszcze nie dziś. To musi dodawać siły. Choć byłoby łatwiej, gdyby ze strony państwa tak bardzo zatroskanego o nieograniczoną dostępność do aborcji pojawiło się zielone światło i chęć wsparcia ośrodków, które realnie i kompleksowo opiekują się chorymi.

Polityka państwa

Każdy z rządów podejmuje działania w tematach, które są dla niego priorytetowe. Kwestia hospicjów perinatalnych pojawiła się w 2017 r. Niestety w Rozporządzeniu Ministra Zdrowia w sprawie świadczeń gwarantowa-

eprasa.pl e015ce267c

nych z zakresu opieki paliatywnej i hospicyjnej nie przewidziano hospicjów stacjonarnych dla dzieci. Dlaczego? Bo gdy powstawało, tych hospicjów jeszcze nie było. Efekt jest taki, że hospicja dla dzieci muszą mieć na stanie chodziki, kule i inne akcesoria wykorzystywane w hospicjach dla dorosłych, które im nie są potrzebne, ale konieczne na wypadek kontroli. – Od mniej więcej czterech lat trwają prace nad nowelizacją rozporządzenia, ale jak na razie projektu nie ma. Jeśli się pojawi, zwykle bierzemy udział w konsultacjach takich dokumentów – tłumaczy Aleksandra Marciniak. Czekamy.

GRUPĄ PRIORYTETOWĄ DLA PRACOWNIKÓW GAJUSZA SĄ DZIECI ŻYJĄCE W CIENIU CHOROBY RODZEŃSTWA.

Jak działa Gajusz?

Gajusz prowadzi trzy hospicja dziecięce. Jeśli dzieci/rodzice kwalifikują się do przyjęcia (przedstawią odpowiednie kody chorób), otrzymają pomoc. Hospicjum domowe działa na terenie województwa łódzkiego. – Nie ma kolejki, mamy wolne miejsca – dodaje pani Aleksandra.

Stacjonarne hospicjum mieści się w Łodzi, ale przyjmuje dzieci z całej Polski, bo takich placówek jest w kraju tylko sześć. – Z kolejkami bywa różnie. Ostatnio zwolniły się u nas trzy miejsca (dzieci zmarły), więc mamy wolne łóżeczka. Do hospicjum perinatalnego nie ma kolejki – przyjmujemy natychmiast – mówi rzeczniczka Fundacji Gajusz. – Zaczyna się od rozmowy z koordynatorką, a później wizyty medycznej i spotkania z psychologiem. Zwykle najpóźniej parę dni po zgłoszeniu się do nas ze skierowaniem. Lekarze obejmujący opieką pacjentów hospicjum perinatalnego to genetycy, ginekolodzy i pediatrzy. Z naszej perspektywy, miasta, w którym aż dwa szpitale zajmują się ciążami zagrożonymi, nie ma problemu z dostępnością – dodaje.

Tu się nie czeka na śmierć, choć wszyscy wiedzą, że kiedyś nadejdzie. W Gajuszu celebruje się życie i to ono rządzi na parterze. Pierwsze piętro to ośrodek Tuli Luli prowadzony przez fundację dla zdrowych niemowląt opuszczonych przez rodziców.

TU SIĘ NIE CZEKA NA ŚMIERĆ, CHOĆ WSZYSCY WIEDZĄ, ŻE KIEDYŚ NADEJDZIE. W GAJUSZU CELEBRUJE SIĘ ŻYCIE.

Nie sprawdziłam, iloma hospicjami w Polsce kierują kobiety. Szefową Gajusza jest Tisa Żawrocka-Kwiatkowska. I to ona razem ze swoim zespołem jest dla mnie superbohaterem. W pracownikach takich miejsc jak hospicja, perinatalne w szczególności, odnajduję odwagę, empatię, wrażliwość, wiarę w to, że można żyć inaczej, nieustępliwość, determinację, wyobraźnię. I potrzebę działania (to cechy, których w swoim konkursie na superbohatera poszukuje dodatek „Wyborczej"). Nie byłoby Gajusza, gdyby nie obietnica, którą przed 28 laty złożyła Opatrzności założycielka fundacji – Tisa, że jeśli uratuje jej dziecko, zrobi wszystko, aby żadne inne chore dzieci nigdy nie były same. Wymiana się udała. Fundacja Gajusz się rozwija, zachęca innych do założenia podobnych placówek. Skutecznie współpracuje ze szpitalami w Łodzi, pokazując, że wysiłek walki o życie zmienia nie tylko najbliższych ich pacjentów, ale całe miasto, a kto wie, może również polskie prawo.

Jeśli słyszymy, że Komisja Europejska otworzyła właśnie możliwość finansowania działań poprawiających dostęp do bezpiecznej aborcji ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego, nie traćmy nadziei. Jestem wielką zwolenniczką działań oddolnych, małych kropel, których spadanie powoduje widoczne zmiany. „38 zł to bilet do aquaparku, a dla nas miesięczny zapas strzykawek" – czytamy na stronie Gajusza. Wsparcie takich miejsc jak Fundacja Gajusz i 18 innych placówek tego typu w Polsce daje nadzieję na zachowanie sumienia i ludzkiej twarzy wśród aborcyjnego krzyku.

Postulaty pracowników Fundacji Gajusz do minister zdrowia: https://gajusz.org.pl/petycja-do-minister-zdrowia-izabeli-leszczyny-fundacja-gajusz/ Tu bardziej ludzkim językiem;) https://gajusz.org.pl/petycje/lekarz-nie-dr-google/

eprasa.pl e015ce267c

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Dzisiejsze zdjęcie nie jest wykonane przez Pana Tomka. Ono przedstawia Pana Tomka. Zamiast rozmowy będzie monolog. Będzie o Panu Tomku.

Panie Tomku, to nasza redakcyjna niespodzianka dla Pana z okazji nadchodzących 80. urodzin.

Trudno mi wyobrazić sobie naszą redakcję bez niego. Dla wielu z nas jest jej nieodłączną częścią – kimś, kto był tu od zawsze i kto współtworzy jej codzienny rytm. Ale jeśli ktoś miałby wskazać najbardziej aktywnego reportera w naszym gronie, wybór również padnie na niego. Tomek sam niedawno wspomniał mi, że od końca 2023 roku był na około 500 manifestacjach. Na początku wydało mi się to niemożliwe, ale gdy przejrzałam jego zdjęcia, wyszło na to, że nie ma w tym cienia przesady.

Jest niemal codziennie w redakcji – nie tylko po to, by porządkować i selekcjonować wykonane wcześniej fotografie. Równie ważne są jego opowieści: o spotkanych ludziach, o własnej rodzinie, o wydarzeniach, które często umykają innym. Potrafi alarmować o sprawach istotnych, wymagających uwagi i reakcji.

Tomek jest prawdziwą kopalnią wiedzy – zarówno o samym „Tygodniku”, jak i o historii Solidarności oraz współczesnych wydarzeniach w Polsce. W czasach tzw. dziennikarstwa obywatelskiego, gdy niemal każdy publikuje, a przestrzeń publiczna pełna jest opinii i samozwańczych ekspertów, on konsekwentnie wybiera własną drogę. Drogę cichego świadka wydarzeń. Potrafi dostrzec to, co dla innych bywa niewidoczne lub wydaje się nieistotne. I właśnie za tę uważność oraz pokorę wobec rzeczywistości bardzo go cenię.

Wszyscy pamiętamy, jak drżeliśmy o niego podczas Marszu Niepodległości w 2021 roku, kiedy został trafiony gumową kulą w twarz. Wtedy wiele osób interesowało się jego losem, był w centrum uwagi. Jednak my w redakcji jesteśmy także świadkami tego, co przyszło później – jego wytrwałej walki o zdrowie i o sprawiedliwość. Bo dla nas Tomek to nie tylko reporter. To ktoś, kto współtworzy to miejsce każdego dnia – swoją obecnością, doświadczeniem i jedynym w swoim rodzaju spojrzeniem na świat.

Znam Tomka niemal połowę własnego życia. Towarzyszył mi w wielu najważniejszych momentach, zarówno na mojej drodze zawodowej, jak i prywatnej.



Fot. Adam Szymański

Wiele razy ratował sytuacje, które wydawały się bez wyjścia. Ale dał mi jeszcze coś więcej. Myślę, że łączy nas to, że traktujemy naszą pracę nie tylko jako sposób zarabiania pieniędzy, że chodzi nam o pokazanie perspektywy tych, którzy nie zawsze są słyszani, którym dzięki naszej pracy może być choć trochę lepiej, że to swego rodzaju misja. Przez lata właśnie tej wrażliwości na drugiego człowieka uczyłam się od Tomka, choć oboje zupełnie różnie tę troskę wyrażamy.

Tomek oddał „Tygodnikowi” całe serce. Ale co równie ważne – oddał je również nam, swoim współpracownikom. I mam głębokie poczucie, że powinniśmy mu się za to odwdzięczyć – nie tylko słowami, ale także obecnością, życzliwością i pamięcią.

Panie Tomku, pamiętam, że od pierwszych chwil w „Tygodniku” był mi Pan życzliwy. Po ludzku po prostu się polubiliśmy. Przez kolejne lata wiele się zmieniało, każdy z nas podejmował nowe zadania, ale Pan pozostał niezmienny – wierny swoim wartościom, swojej pracy i ludziom wokół. Z okazji 80. urodzin życzę tylko jednego – żeby Pan, broń Boże, tego w sobie nie zmieniał.

Basia Michałowska

eprasa.pl e015ce267c

Falowanie i spadanie,

czyli o dłuższych i krótszych karierach różnych trendów

To **spada jak czad** na nawet światłe umysły: musisz to jeść, musisz tak postępować, musisz w to uwierzyć, musisz to odrzucić! Jak świat światem, nagle rozprzestrzeniają się mody czy raczej przekonania, które trwają dotąd, zanim nie zniesie je wniwecz nurt przeciwstawny, zadający kłam tamtemu poprzedniemu. Dziś przypomnę kilka „dogmatów" żywieniowych.

Monika Małkowska



Fot. Wikimedia Commons

Nie chodzi o rzeczy wielkie, za to konstytuujące nasz byt codzienny. Co szkodzi zdrowiu, a co posiada zbawienny wpływ? Co przedłuża doczesny żywot, co skraca? Co pozwala zaoszczędzić grosza, co zmusza do nadmiernych wydatków? Chyba nikt nie jest tak całkiem impregnowany na argumentację speców, którzy posiedli wiedzę nieznaną większości. Czar działa tak długo, jak długo owa mądrość nie zostanie poddana analizie i przewartościowaniu. I wtedy w naszych codziennych wyborach/działaniach następuje zwrot o 180 stopni, co znowu za jakiś czas zostaje poddane rewizji... A najczęściej za tymi karierami i upadkami mód (zjawisk?) stoi twarda gra interesów. Pół biedy, jeśli szkodliwość trendu niewielka, sprowadzona do jakiegoś wydatku. Gorzej, gdy nowa „prawda objawiona" przesądza o dalszym życiu. Zacznijmy od mód konsumpcyjnych, z którymi miałam/mam do czynienia. Czy im się poddałam? Hmm... chyba jestem mało podatna na indoktrynację w każdym obszarze.

Plakat Mariana Adamczewskiego, Muzeum Narodowe, z wystawy Izby Pamięci Cukrownictwa.

eprasa.pl e015ce267c

Post czy ideologia

Jesteśmy w okresie Wielkiego Postu – a czas ten od wieków łączy się z wyrzeczeniami kulinarnymi. Z menu znikają na sześć tygodni: mięso, tłuszcze zwierzęce, miód, cukier, nawet nabiał. Jak się zastanowić, to chrześcijanie byli protoweganami, lecz teraz nikt nie łączy religii z modnymi ideologiami. Nowoczesny ruch wegański narodził się 1 listopada 1944 r. w Londynie, kiedy to brytyjski działacz Donald Watson wraz z grupką podobnie myślących zapaleńców założyli Vegan Society. Namawiali do skrajnego reżimu jedzeniowego, aby wyeliminować wykorzystywanie zwierząt w celach żywieniowych, odzieżowych i z innych głupich powodów, służących zaspokajaniu ludzkich kaprysów. W przeciwieństwie do wegetarianizmu, polegającego na odrzuceniu produktów mięsnych, weganie łączą nawyki jedzeniowe z ratowaniem planety. To ruch powstały z pobudek moralnych, propagujący emancypację zwierząt i zaprzestanie ich eksploatacji. Czasem jednak wzniosłe hasła wiodą do przechyłów. Znam małżeństwo weganów, którzy karmili swego kota tylko produktami pochodzenia roślinnego. Podobno pięknie pachniała mu sierść, zanim... zdechł (może umarł?). Znam młodych ludzi, którym organizmy odmawiały posłuszeństwa (anemia!), pozbawione wielu potrzebnych składników. Bo weganizm wymaga nieustannego suplementowania, zaś w wysoko przetworzonych produktach wegańskich też kryją się zagrożenia: nadmiar soli, cukru i tłuszczów nasyconych. W ostatniej dekadzie ludzie wege złączyli siły z ekoobrońcami, zielonymi oraz wyznawcami podziału fauny na zwierzęta ludzkie (to my, ludzie) i zwierzęta pozaludzkie. Termin lansowany od ponad pięciu lat przez europosłankę (obecnie eks) Sylwię Spurek nie u wszystkich zyskał aprobatę, ale u niektórych poruszył sumienie. Posłuchajcie tej argumentacji: „Jaka jest różnica pomiędzy zwierzętami ludzkimi i pozaludzkimi? Jedna: te pierwsze zwierzęta uzurpowały sobie rządy nad światem i zabijały ten świat systematycznie. Zmiany klimatyczne i wymieranie zwierząt nie pojawiły się nagle i bez przyczyny. Najpierw człowiek uznał, że jest najważniejszy, a teraz śmieje się okrutnie z tych wszystkich, którzy dostrzegli, że zwierzęta pozaludzkie mają taką samą wartość jak zwierzęta ludzkie". Tak dowodziła w 2020 r. prof. Joanna Hańderek. Wśród rozlicznych aktywności tej naukowczyni i działaczki społecznej znajduje się współtworzenie Manifestu Wegańskiego i redagowanie „Filozofii wegańskiej", a także pisanie filozoficznego bloga z kotką na kolanach. Oby tylko kotu dostarczano odpowiedniego pokarmu, żeby nie stracił weny!

DIETA KAPUŚCIANA, UZNAWANA ZA DIETĘ CUD, ZYSKAŁA POPULARNOŚĆ JUŻ W LATACH 50. XX W. W LATACH 20. NASZEGO STULECIA DIETETYCY BIJĄ NA ALARM: MA WIĘCEJ WAD NIŻ ZALET!

Przepis na chudość i bąki

Post może być też okazją do pozbycia się zbędnych kilogramów. Jest wiele sposobów na odchudzanie, a te ekstremalne bywają groźne dla zdrowia i – co gorsza – prowadzą do efektu jo-jo. Ta metoda wydawała się mało szkodliwa: dieta kapuściana, uznawana za dietę cud, zyskała popularność już w latach 50. XX w. (niektóre źródła podają, że przepisy na zupę kapuściankę funkcjonowały już podczas I wojny światowej i upowszechniły się w latach 30.). Kiedyś nazywano ją dietą stewardes, jednak w Polsce zyskała sławę pod koniec lat 90., kiedy prezydent Aleksander Kwaśniewski zapragnął skorygować swoją zbyt obłą sylwetkę. W tym celu głowa państwa posilała się zupą kapuścianą przyrządzoną według dość monotonnej, niskokalorycznej receptury. Podobno wskutek jej stosowania zrzucił 20 kilogramów przez kilka miesięcy. Reżim prezydencki zakazywał spożywania innych potraw, daną zupę należało zaś jeść co najmniej przez tydzień, 2–3 razy dziennie. Wyłącznie! Za to można było pochłaniać dowolne ilości zupy, tyle żeby nie odczuwać głodu. Pracowałam wtedy w „Rzeczpospolitej". Efekty mody na kapuścianą dietę dawały się odczuć w całej redakcji. Nosem. Zapach, który snuł się po pokojach i korytarzach, nie był miły. Koledzy i koleżanki przychodzili z termosami tego cuda i odgrzewali zupkę na redakcyjnej kuchence. Jak wszystkie inne kuracje odchudzające bazujące na jednym produkcie kapuścianka szybko się nudzi. A że „działa łagodnie, nie przerywając snu" (i pracy), prowadzi do szybkiej utraty wody

eprasa.pl e015ce267c

z organizmu – stąd spadek masy ciała. W latach 20. naszego stulecia dietetycy nie tylko zmienili zdanie, wręcz biją na alarm: ma więcej wad niż zalet!

Cukier na potencję i inteligencję

To chyba najbardziej ekstremalny przykład przejścia od mega lansu ze wsparciem rządu do równie szeroko rozlanej infamii. Jeszcze w XIX wieku cukier uchodził za dobro luksusowe, cenną przyprawę, nawet lekarstwo. W następnym stuleciu białe kryształki stały się dobrem pierwszej potrzeby. W II RP rozgorzała wojna między cukrem a jego substytutem, czyli sacharyną. Tę drugą lansowano po I wojnie światowej z użyciem wszelkiej dostępnej wówczas reklamy: prasy, radia, plakatów, broszur, a nawet filmów i gier. A to było fatalne dla polskiego przemysłu cukrowniczego oraz skarbu państwa. W 1925 r. ruszyła kontrofensywa: powołano Komisję Propagandy Konsumpcji Cukru (KPKC), której przewodniczył dyrektor cukrowni w Środzie. KPKC w latach 20. działała na wielu polach – prowadziła kampanię medialną, edukacyjną, reklamową, filmową; docierała do szkół, wojska, mieszkańców, sportowców, organizacji kobiecych, harcerskich; do inteligencji i ludności żydowskiej (w języku jidysz). Chyba żaden slogan reklamowy nie wbił się tak mocno w zbiorową, ponadpokoleniową pamięć, jak dwuwyrazowe hasło ukute przez pisarza Melchiora Wańkowicza „Cukier krzepi".

Mało kto pamięta, że ten intelektualista stanął na czele utworzonego w 1930 r. Biura Propagandy Konsumpcji Cukru i że snuł plany promowania cukru za pośrednictwem filmów propagandowych powstających w koprodukcji kilku państw. W międzywojniu cukrowi przypisywano niemal czarodziejskie działanie. Dowodzono (za pomocą wykresów kolportowanych w prasie), że kto spożywa więcej cukru, ten żyje dłużej. Że cukier pobudza siły seksualne i żywotne. A także, że cukier nie tylko krzepi, lecz również pobudza umysł i regeneruje nerwy. Trochę trwało, zanim nauka zrobiła w tył zwrot. Teraz sacharoza stała się naszym wrogiem, jedną z przyczyn zachorowań na cukrzycę, choroby serca, otyłość. Nazywa się ją białą śmiercią, słodką trucizną. W 2015 r. Centrum Nauki Kopernik we współpracy z przedsiębiorstwem Polpharma zorganizowały akcję „Czy cukier krzepi? Weekend z diabetologią w Kopernik". Przestrzega się przez używaniem „cukru ukrytego" w napojach słodzonych i rozmaitych pokarmach, od pieczywa po konserwy rybne i wyroby wędliniarskie (sic!). Światli ludzie namawiają do monitorowania poziomu cukru we krwi i kontrolowania poziomu glukozy. Co ciekawe: choć cukier buraczany i trzcinowy to w zasadzie czysta sacharoza o podobnych właściwościach, ten drugi ma ostatnio lepsze notowania jako niemodyfikowany genetycznie. Ale, ale! Z trzciny wydobywa się cukier przy użyciu węgla kostnego, co z kolei budzi zastrzeżenia wegan i wegetarian. Jednak to już inny problem.

> ZA CZASÓW GIERKA DOSZŁO DO ROZMAITYCH PRZEWARTOŚCIOWAŃ IDEOWO-ŻYWIENIOWYCH, ALE CHYBA NAJWIĘCEJ EMOCJI WYWOŁYWAŁA WOJNA MIĘDZY MASŁEM A MARGARYNĄ.

Czym posmarować

Za czasów Gierka doszło do rozmaitych przewartościowań ideowo-żywieniowych, ale chyba najwięcej emocji wywoływała wojna między masłem a margaryną. Wygrała ta druga, choć nie umywała się smakowo ani zapachowo do masła, rozsmarowywała się z trudem, a w dodatku zawarte w niej tłuszcze utwardzone miały (i mają) niekorzystny wpływ na organizm ludzki, lecz o tym jeszcze nikt nie wiedział. Jej anemiczną urodę poprawiano marchwią, nagietkiem, a nawet sztucznymi barwnikami. Jednak posiadała zaletę nie do przebicia: jako znacznie tańsza i łatwiej dostępna, w latach 70. i 80. zastępowała towar deficytowy, jakim było masło (gdy je „rzucono" do sklepów, sprzedawano je na wagę, a niekiedy zastępowano solonym, konserwowanym masłem z importu). Margaryna otrzymywana z olejów roślinnych, takich jak olej rzepakowy, słonecznikowy, palmowy czy kokosowy, występowała pod wieloma nazwami: Kama, Rama, Palma i najpopularniejsze masło roślinne (tzw. MR). Wszystkie reklamowano jako „smak zdrowia", do tego rozpuszczano plotę, że masło winne jest zawałom serca. Tak naprawdę margaryna zrobiła karierę w PRL-u jako jedyna

eprasa.pl e015ce267c

bezproblemowo dostępna w handlu. Po naszym przejściu na gospodarkę kapitalistyczną wydawało się, że nastanie epoka maślana. I oto w latach 90. margaryny znów zaatakowały nasz rynek ze zdwojoną energią – bo do Polski weszły koncerny zagraniczne. To one wyczuły koniunkturę: wciąż hołdowaliśmy nawykom z lat niedostatków.

W 1925 R. POWOŁANO KOMISJĘ PROPAGANDY KONSUMPCJI CUKRU. DOWODZONO, ŻE CUKIER NIE TYLKO KRZEPI, LECZ RÓWNIEŻ POBUDZA UMYSŁ I REGENERUJE NERWY.

Pojawiły się kolejne masłopodobne smarowidła – Delma, Tina, Sana, Flora, Kasia, Delikata, Masmix. W 1996 r. te produkty opanowały mały ekran. Do reklam zaangażowano gwiazdy, m.in. Edytę Górniak, Witolda Pyrkosza, Jaremę Stępowskiego (wraz z koniem, który żre suchy chleb). A potem gruchnęła fama, jest coś nie halo z tłuszczami trans, które powstają podczas częściowego uwodorniania olejów roślinnych. I kiedy wydawało się, że margaryna zniknie z naszych kuchni i stołów, w 2013 r. głos zabrali decydenci z UE. Rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego uregulowano definicje tłuszczów do smarowania, ściśle ograniczając zawartość przemysłowych tłuszczów trans. Mecz margaryna vs. masło zakończył się wynikiem 1:1.

Złote runo z kryla

Trudno w to uwierzyć – w czasach zaopatrzeniowych niedoborów w polskich sklepach najłatwiej można było dostać... owoce morza. Nie chodziło o mule, ośmiorniczki czy krewetki, lecz o dalekich i znacznie mniejszych krewnych tych ostatnich. Kryl to drobny skorupiak żyjący w ogromnych ławicach w wodach oceanicznych na całym świecie, zwłaszcza w rejonach polarnych. Tenże mini-raczek, potężny w biomasie, zawiera wysokiej jakości białko i zdrowe tłuszcze, w tym kwasy omega-3. Miał służyć jako źródło białka dla najuboższych. W 1975 r. z Gdyni wyruszyła wyprawa naukowa, z błogosławieństwem Gierka, Jaroszewicza i mediów. W latach 70. promowano kryla jako alternatywę dla mięsa, z którym na PRL-owskim rynku zaczynało być krucho. Na wstępie w PRL-u skorupiaczek był serwowany „na bogato" jako frutti di mare. Zadanie, jak go kulinarnie uzdatnić, powierzono szefom kuchni ekskluzywnych restauracji. Stopniowo kryl się egalitaryzował. Można go było nabyć w Centrali Rybnej w postaci mrożonej tafli, także w formie konserw i past, a nawet w... paprykarzu szczecińskim. Aż tu odkryto, że mięso małego raczka zawiera niebezpieczne dla ludzi ilości fluoru. W 1979 r. wstrzymano kosztowne wyprawy krylowe, ale za kilka lat temat i kryl wróciły. W drugiej połowie lat 80. zwrócono mu honor, wrócono do sprzedaży i znów proponowano jako alternatywę schabowego. Pamiętam kryla z puszki – nie miał żadnego smaku, lekko trącił morską bryzą, zgrzytał między zębami. Trzeba było się ogromnie natrudzić, żeby uzyskać z niego coś jadalnego za pomocą dodatków. Sól, pieprz, śmietanka, majonez? Może keczup? Pietruszka, koperek? Na zimno czy podgrzać? To jednak były eksperymenty na domowy użytek. Gorzej, gdy za minikrewetkę brali się kucharze w knajpach i barach, przerabiając masę krylową na mielone kotlety lub farsz do pierogów. A już zupełnie fatalna w skutkach okazała się plotka rozpowszechniana pod koniec rządów Gierka, że kryla na pewno dodawano do mięsa w kiełbasie, bo jej smak tak dramatycznie się pogorszył. Minęły lata i możemy degustować rozmaite owoce morza, jednak znienawidzony i pogardzany kryl nie zniknął całkiem z naszego jadłospisu. Otóż olej z kryla jest szczególnie polecany w okresie, gdy brak światła słonecznego obniża nasze samopoczucie, a także siada układ odpornościowy. Może kryl odzyska dobrą sławę?

W CZASACH ZAOPATRZENIOWYCH NIEDOBORÓW W POLSKICH SKLEPACH NAJŁATWIEJ MOŻNA BYŁO DOSTAĆ... OWOCE MORZA.

eprasa.pl e015ce267c

KULTURA

Czytaj też:
„Niezłomni, Niepokorni, Wyklęci” 54

Jestem orędowniczką codzienności



Fot. Karola Sykut

– Wszyscy szukamy pomysłu na życie. Nawiążę do orędownictwa codzienności. Święta na pewno nie jestem, ale mam swoje przekonania. Jednym z nich jest to, aby relacje z innymi były szczere i prawdziwe. Nie obgadujmy, nie wchodźmy komuś w jego życie – mówi **Martyna Sabak**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, farmaceutka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

eprasa.pl e015ce267c

Jazzowe kompozycje, czuły, choć charakterny, wokal i wartościowe teksty, z którymi nietrudno się utożsamić – to charakterystyczne cechy twórczości Martyny Sabak, która **powraca z singlem „Paplanie”.**

– Uskuteczniasz paplanie?
– Trochę tak. Wszystkie słowa i hasła, które pojawiają się w moich tekstach, są wynikiem tego, że życie mi je przyniosło. A że paplanie to autoterapia, wyrzucanie z siebie tego, co złe, żeby móc zrobić krok do przodu, staram się to robić.

– Czy doświadczoną wokalistkę, która wnosi bardzo dużo pozytywnej energii w swoją twórczość, może spotkać coś złego?
– Życie. Czasami coś nas denerwuje. Jest za dużo obowiązków na głowie. Utwór „Paplanie” powstał w sytuacji przeciążenia, powiedzmy – przesilenia wiosennego i jesiennego, w którym dużo się działo: było dużo telefonów, dużo pytań, na które nie byłam w stanie od razu odpowiedzieć, i pomyślałam sobie, że rzuciłabym to wszystko. A jak to u wokalistki bywa, usiadłam przy pianinie przy jakiejś okazji i przelałam te uczucia na piosenkę. Tu nie chodzi o wielkie, złe wydarzenia, aby się żalić, tylko o normalność, w której warto sobie pomóc. Tym bardziej że mamy teraz taki świat, w którym bardzo modna jest terapia. Ona jest potrzebna, ale mam czasami wrażenie, że też zastępuje nam codzienny kontakt, codzienną rozmowę ze sobą, która może się odbywać, jeszcze zanim wybierzemy się do specjalisty. Dlatego piosenki są elementem, w którym sama się przed tym chronię, robię to, by móc się wspierać.

PORÓWNYWANIE SIĘ Z INNYMI JEST SŁABE. MOŻNA SIĘ PRZEZ TO WYKOŃCZYĆ.

– Twoja twórczość jest formą muzykoterapii?
– Dla mnie – tak. Muzyka powstaje, bo dzieje się we mnie. Może dla kogoś to jest muzykoterapia.

– Z takim podejściem influencerką nie zostaniesz.
– Nie mam podejścia influencerskiego. Nie wiem, jaki clickbait ma sprawić, żeby ktoś odwiedził mój profil. Jakoś tam sobie żyję i się tym dzielę. Nie publikuję treści po to, żeby ktoś w nie klikał. Jestem orędowniczką codzienności, więc zachęcam wszystkich do tego, by na co dzień pielęgnowali siebie, swoje życie, chociażby poprzez zwykły fitness, zwykły spacer czy czas na spokojne śniadanie.

– Znajdziesz odbiorcę takiego przekazu, orędowniczko codzienności?
– Myślę, że tak, ponieważ to dotyczy każdego z nas. Wszyscy szukamy pomysłu na życie. Nawiążę do orędownictwa codzienności. Święta na pewno nie jestem, ale mam swoje przekonania. Jednym z nich jest to, aby relacje z innymi ludźmi były szczere i prawdziwe. Nie obgadujmy, nie wchodźmy komuś w jego życie. Każdy z nas szuka tego, jak żyć w zgodzie ze sobą.

– Żyjesz z muzyki czy to jest Twoja pasja?
– Pół na pół.

– Jak to pół na pół? To mnie bardzo ciekawi.
– Mam to szczęście – teraz mogę to jasno powiedzieć. Kiedyś nie byłam tego pewna. Rodzice pomogli mi w moich życiowych wyborach. Poszłam na studia, na farmację, i ona zapewniła mi pierwszy zawód. Jestem szczęściarą, bo czuję bezpieczeństwo w innych przestrzeniach swojego życia. Potem zapukała do mnie muzyka. Pojawiają się koncerty, płyty się sprzedają, gram spektakle i spełniam się artystycznie także w teatrze.

– Pracujesz w aptece?
– Tak. Pracuję w aptece i w szkole – jestem nauczycielem śpiewu, ponieważ skończyłam studia pedagogiczne pod tym kątem.

– Masz jeszcze czas na życie prywatne?
– Mam i bardzo o nie dbam. To właśnie jest ta proza życia i to orędownictwo.

– Twoje śpiewanie można porównać do leku, suplementu?
– Bardzo ciekawe pytanie, ponieważ w przeszłości byłam związana z zespołem B6 o zupełnie innym nurcie – popowo-rockowym. B6, czyli witamina.

– Jak znajdujesz na to wszystko czas i siłę?
– Chcę zachować proporcje. To jest klucz do sukcesu.

– Masz panaceum na to, że obecnie w muzyce ważniejszy jest marketing niż umiejętności?
– Muzyka zawsze była w moim sercu. Wiadomo, że każdy tak mówi. W muzyce idę za głosem serca. Niestety sam głos serca nie wystarcza, więc staram ciągle sobie wmawiać, ›

eprasa.pl e015ce267c

HISTORIA ARTYSTKI

Martyna Sabak – wokalistka, autorka tekstów i muzyki. Na swoim koncie ma debiutancką płytę długogrającą – „Byłam, jestem, będę", która ukazała się jesienią 2023 roku. Premierze albumu towarzyszyła duża trasa koncertowa, podczas której artystka prezentowała swój autorski materiał na żywo na terenie całej Polski. W tym roku Martyna powraca z kontynuacją tej historii na nowym albumie jazzowym – „Nic nie trzeba", którego premiera jest zapowiedziana na wiosnę tego roku.

Martyna Sabak dała się poznać jako orędowniczka codzienności, co ubiera w formy piosenek, opisując różne sytuacje z życia wzięte. Jej utwory to emocjonalne dawki historii inspirujących do działania i refleksji. Dotyka ludzkich serc, kojąc je nieoczywistymi dźwiękami, tekstami o oczywistej prozie codzienności. Jak to kobieta, zmienną bywa – uwielbia zarówno dobry groove, jak i poruszające ballady.

2026 rok to dla Martyny Sabak otwarcie nowego rozdziału w jej muzycznej karierze. Artystka wypuszcza bowiem swój drugi album. Jego pierwszą zapowiedzią był świetnie przyjęty singiel „Nic nie trzeba". Czas na kolejną odsłonę tej historii!

Najnowszy utwór artystki „Paplanie" to kolejna zapowiedź albumu „Nic nie trzeba", której trzon stanowi jazzowa, przebojowa kompozycja.

– Kiedy w głowie się pali od natłoku powiadomień i zadań, prowadzimy ze sobą różne, wewnętrzne rozmowy. „Paplanie" to fragment takiej właśnie rozmowy. Rodzaj samokontroli i autoterapii, który pozwala nie zapętlić się i nie zwariować, a czarną energię zamienić na coś pozytywnego. Żeby się nie zaplamić czymś, co potem trudno „wyprać" – opowiada Martyna Sabak.

Warto podkreślić, że w procesie twórczym Martynie towarzyszą niezmiennie kultowe postaci z polskiej sceny jazzowej i nie tylko. Wśród nich znalazł się chociażby Adam Jarzmik — utalentowany pianista i kompozytor, który odpowiada za warstwę muzyczną najnowszego singla artystki. Premierze utworu towarzyszy również teledysk, za którego zdjęcia, montaż i realizację odpowiada Mikołaj Kołodziejczyk. Projekt zrealizowano dzięki wsparciu Stypendium Prezydenta Miasta Lublin oraz ZAiKS.

że to jest też ta druga strona medalu, czyli marketingowa i promocyjna. To jest praca, którą trzeba sobie zaplanować. Wracając do wcześniejszego pytania – jak łączę to wszystko – to jest to wielka logistyka, siadanie z kalendarzem na półtora miesiąca przed wydarzeniami i planowanie. Niektórzy czasami mają mnie dość, bo pytam dwa miesiące naprzód, jakie dana osoba ma plany, a ona nie pomyślała jeszcze o tym miesiącu.

Najbardziej uskrzydla mnie koncertowanie. Występowanie i kontakt z publicznością na żywo jest czymś, za czym tęsknię, do czego chcę wracać. Dlatego resztę obowiązków z tym związanych uznaję za pracę, czystą pracę. W tym momencie wpisuję sobie nawet do kalendarza hasła: „Nagraj rolkę".

– Kto przychodzi na Twoje koncerty?

– Zazwyczaj są to ludzie w wieku 30–50 lat.

– Życie dzielisz na Warszawę i Lublin. Zgadza się?

– Tak. W poniedziałki i wtorki jestem na ogół w Warszawie, później razem z mężem jedziemy do Lublina, a weekendy spędzamy, gdzie popadnie.

– Rozwiń to, proszę.

– Kiedy się poznaliśmy, byłam zagnieżdżona w Lublinie, a mój mąż w Warszawie. Oboje zakorzeniliśmy się w tych miastach na tyle, że nie było łatwo zostawić nam nasze życia. Aptekę i życie farmaceutyczne mam więc w Warszawie. We wtorek wieczorem po pracy męża jedziemy do Lublina. Razem. Tam pracuję stacjonarnie, a on zdalnie. W weekend są występy.

– Mąż jest muzykiem?

– Nie. I chwała mu za to, że nie jest.

– Kiedy płyta?

– W tym roku. Na maj zaplanowany jest następny singiel promujący płytę, będzie bardziej wiosenny. Będą też koncerty. Na wrzesień szykują się premiera płyty i oficjalny koncert, który odbędzie się 13 września w klubie Jassmine w Warszawie.

– Czyli tak mocno jazzowo.

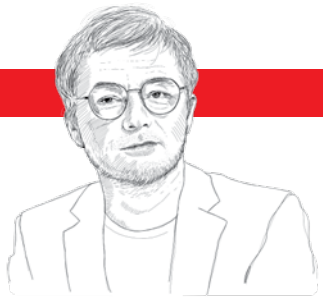
– Mocno jazzowo. Jestem przeszczęśliwa. Jeszcze nigdzie wcześniej nie mówiłam o tym koncercie, ale wewnętrznie, w serduchu, się jaram.

– Czy masz coś, czego nie mają inne wokalistki funkcjonujące w Twojej stylistyce?

– W tym momencie mam to w nosie. Staram się cały czas dbać o swój wokal, o to, żeby warsztat był coraz lepszy. Spełniam się w tym. Ciągłe pokonywanie wyższych poprzeczek i porównywanie się z innymi są słabe. Można się przez to wykończyć. Muzyka to nie jest sport.

eprasa.pl e015ce267c

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Dzieci woke bronią Świątek

Jan Wróbel

Sztuczna inteligencja próbowała mnie ostatnio przekonać, że „świątkara” to inna nazwa pewnej rasy psów. Rasy agresywnej. Mniemam, że prawdziwe świątkary, czyli zaprzysięgłe fanki Igi Świątek, poczułyby się takim zestawieniem lekko urażone, zwłaszcza że AI w sprawie słowotwórstwa pozwoliła sobie na halucynacje. Chociaż niektóre fanki chyba jednak nie, bo właśnie chcą być agresywne i skutecznie szarpać ciało na sztuki. Tym razem ciało Lecha Sidora.

Sidor jest znanym komentatorem sportowym specjalizującym się w tenisie. Niedawno wypowiedział się dość negatywnie o Idze (a w sumie to o współpracy w jej sztabie – i nic dziwnego, bo mówi o tym cała Polska). Skracając – znalazł się na celowniku „obrończyń Igi”.

I coś Państwu powiem w sensie à propos. Iga, ze wszystkimi swoimi wahaniami emocji i wahaniami formy, to dla mnie bogini. Nawet specjalnie nauczyłem się, jak jest po portugalsku „bogini” (deusa) – tak na wszelki wypadek, bo może się przydać. Narzekania Sidora irytują, nie określiłbym go skąd inąd jako reinkarnację Bohdana Tomaszewskiego. Aczkolwiek oddaję mu honor – u progu Wimbledonu przewidywał, że Polska może ten turniej wygrać. (Tzw. mejnstrim komentatorski był wówczas na etapie lamentowania, że trawa naszej zawodniczce nie służy; tyle że Świątek wygrała ten arcyturniej!). Rozumiem, że wyznawczynie bogini stanęły z Sidorem do walki – poniekąd, obowiązek. Parafrazując Romana Dmowskiego: jestem świątkarą i mam obowiązki świątkarskie. OK.

> PARAFRAZUJĄC ROMANA DMOWSKIEGO: JESTEM ŚWIĄTKARĄ I MAM OBOWIĄZKI ŚWIĄTKARSKIE.

Najbardziej jednak zapalczywe fanki sięgnęły do internetowych źródeł informacji osobowej, aby wypomnieć Sidorowi nie tylko grzeszne słowa o Świątek, ale tzw. wszystko. Z karierą jego córki włącznie. A nawet (dziewczyny, no, naprawdę...) włącznie z uwagami na temat jej urody. Pal sześć, jak to jest ze sztabem Igi, najważniejsze, aby zaorać Sidora. No, woke, jak żywy.

„Obudzenie” było ruchem mającym u swych początków niejedną dobrą intencję. Dla przykładu, uświadamianie wyższościowego stosunku do koleżanek (i często kolegów) mężczyznom wywodzącym się z rodzin zamożnych, patriarchalnie wychowujących synów albo protekcjonizmu wobec czarnoskórych itd. miało moralny wymiar na plus. Szybko jednak woke obudził drzemiące w ludziach instynkty dzikiej sfory. Wyspecjalizował się w tropieniu wrogów (jak powiedzieliby bardziej obyci w historii – wrogów klasowych) i stadnym rzucaniu się na współczesnych „kułaków” i „reakcjonistów”. Obici tysiącem internetowych kijów, zaszczuwani donosami do pracodawcy, wygnani z mediów społecznościowych mieli być pouczającym i zastraszającym przykładem dla innych.

Nad Wisłą treść „woke” wciąż przyjmuje się jakoś opornie. Jednak forma obrzydliwej nagonki ma liczne grono zwolenników. Na prawicy, zwłaszcza bardzo patriotycznej, w centrum (proszę zajrzeć do archiwum Polski 2050), wśród kibiców i nawet pośród widzów programów telewizyjnych. I żadni bogowie, a nie nawet Bogini, tego nie powstrzymają.

eprasa.pl e015ce267c

POD PATRONATEM „TS”

„Niezłomni, Niepokorni, Wyklęci”





Fot. Gabriela Slowinska (3)

Mury więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, niegdyś niemi świadkowie brutalnych przesłuchań i komunistycznych zbrodni, dziś stają się sanktuarium pamięci i przestrzenią żywego patriotyzmu. 15 marca odbył się w tym symbolicznym miejscu koncert „Niezłomni, Niepokonani, Wyklęci” łączący pokolenia artystów w hołdzie dla żołnierzy powstania antykomunistycznego. O odkłamywaniu tajemnic mokotowskiego aresztu, misji edukacyjnej muzeum oraz o tym, jak pieśń kruszy mury zapomnienia, z **Adrianną Garnik** – dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, oraz **Jackiem Perłowskim** – prezesem Stowarzyszenia Historycznego Polonia Restituta, rozmawiała **Gabriela Słowińska**.

– Pani Dyrektor, czy po latach badań jesteśmy w stanie oszacować, jak wielu więźniów politycznych przeszło przez mury tego więzienia w najmroczniejszym okresie jego historii? Czy były wśród nich również kobiety?

Adrianna Garnik: – To bardzo dobre pytanie i jedno z tych, na które chcemy odpowiedzieć. Cały czas badamy dokumenty. Myślę jednak, że opracowanie listy wszystkich więźniów i osób przetrzymywanych przy Rakowieckiej to praca na kolejne lata. Mieścił się tu areszt Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie trafiły osoby bez zarzutów. Często były tu torturowane przez wiele miesięcy, a nawet lat. Część osób przebywała na Rakowieckiej przez chwilę, później były transportowane do kolejnego więzienia.

Na Rakowiecką trafiali mężczyźni i kobiety, najwybitniejsi przedstawiciele różnych środowisk patriotycznych, żołnierze podziemia antykomunistycznego, jak Hieronim Dekutowski „Zapora”, Zygmunt Szędzielarz „Łupaszko”, mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin”, gen. Elżbieta Zawacka „Zo”, ppłk Stanisław Kasznica „Wąsal”. Wśród więźniów byli również duchowni, jak abp Antoni Baraniak, bp Czesław Kaczmarek, ks. Rudolf Marszałek, ks. Antoni Czajkowski, s. Izabela (Zofia Łuszczkiewicz). W mokotowskim więzieniu osadzano działaczy PSL, m.in. Stanisława Mierzwę, działaczy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, kolejne Zarządy Główne Zrzeszenia, aż do IV Zarządu WiN z płk. Łukaszem Cieplińskim na czele. Cele mokotowskiego więzienia poznały niezwykłe kobiety działające na rzecz niepodległości Polski: Rutę Czaplińską, Lidię Lwow, Helenę Żurowską – jedyną kobietę, na której w mokotowskim więzieniu wykonano wyrok śmierci. Często na Rakowickiej przetrzymywane były całe rodziny. Tak było chociażby w przypadku rodziny Krzysztofa Bukowskiego. Miał 10 miesięcy, kiedy aresztowano jego rodziców – Edmunda Bukowskiego „Zbyszka” i Irenę Bukowską – oraz kilkunastu członków dalszej rodziny. Ojca stracono 13 kwietnia 1950 r. Na Rakowieckiej w tym samym czasie więzione było małżeństwo Walickich – Wacław Walicki i będąca wówczas w ciąży Halina Walicka. W więzieniu urodziła córkę, która na szczęście przeżyła. Wiele dzieci zmarło w wyniku tortur wobec ich matek.

eprasa.pl e015ce267c

– Rakowiecka wciąż kryje wiele mrocznych sekretów. Czy istnieją przypuszczenia, że na terenie obecnego muzeum mogą znajdować się dotąd nieodkryte miejsca pochówków, i czy planują Państwo badania w tym kierunku?

A.G.: – Odkąd na Rakowieckiej powstało muzeum, to jest od 2016 r., IPN prowadzi tu poszukiwania. Ostatnie przeprowadzono w 2025 r. Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN podjęło już wiele szkieletów i szczątków ludzkich z tego terenu. Oczywiście nieustannie badamy każdy możliwy fragment ziemi i z pewnością prof. Krzysztof Szwagrzyk jeszcze wróci, by badać kolejne części terenu. Szczątki wydobyte w zeszłym roku najprawdopodobniej należą do ofiar masakry z 2 sierpnia 1944 r. Były to ofiary niemieckiego okupanta.



Koncert „Niezłomni, Niepokorni, Wyklęci”

– Panie Prezesie, postać Żołnierza Wyklętego bywa wciąż przedmiotem sporów. Skąd właściwie wzięli się żołnierze powojennego podziemia i z kim realnie musieli toczyć walkę po 1945 roku?

Jacek Perłowski: – Aby zrozumieć sytuację Żołnierzy Wyklętych, musimy cofnąć się do września 1939 roku. Z zachodu wchodzą wojska niemieckie, ze wschodu wojska sowieckie. Pomimo zaciętej obrony Polska znajduje się pod okupacją. Część wojsk ewakuuje się przez Rumunię, by kontynuować walkę na Zachodzie. Żołnierze pozostali w kraju nie składają broni. Walczą dalej w konspiracji tak jak Witold Pilecki, w oddziałach partyzanckich. Stworzone jest całe państwo podziemne z przedstawicielami polskiego rządu, sądami, powstaje Armia Krajowa, przeprowadzane są akcje zbrojne – np. zamach na Franza Kutscherę – zbrodniarza zarządzającego Warszawą – działa wywiad, przekazywane są dane wywiadowcze aliantom. Gdy nastaje rok 1945 i w granice Polski wchodzą wojska sowieckie, Armia Krajowa pomaga wyzwalać polskie miasta, np. Lwów czy Wilno. Jednak szybko okazuje się, że Armia Czerwona nie przynosi nam wolności, lecz nową okupację. Część ziem zostaje wcielona do ZSRR. Władzę na terenie Polski przejmują agenci i słudzy Stalina oraz zdrajcy. Polscy żołnierze i patrioci stają się niechciani, wyklęci – aresztowani, torturowani, mordowani. Często stają przed wyborem: zginąć w walce partyzanckiej czy na przesłuchaniach w ubeckich katowniach? Nawet najmniejsze ukrywające się oddziały ścigają tysiące oprawców z NKWD, UB, LWP, tajnych komunistycznych agentów. To z nimi muszą w rezultacie konfrontować się Żołnierze Wyklęci. Czyli od 1939 roku walczyli oni z niemieckim okupantem, a po 1945 roku musieli mierzyć się nie tylko z sowiecką armią, ale także z całą armią komunistycznych zdrajców i zbrodniarzy. Dlatego hasłem tegorocznych obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” są słowa, które oni sami wypowiedzieli: „Nie jesteśmy żadną bandą, MY JESTEŚMY WOJSKO POLSKIE”.

– Stowarzyszenie Polonia Restituta kładzie duży nacisk na pamięć o Powstaniu Warszawskim, ale i o Żołnierzach Wyklętych. Co łączy te dwa etapy walki o wolność w Państwa misji?

J.P.: – Mój tata, jego bracia i mój dziadek byli żołnierzami Armii Krajowej i walczyli w Powstaniu Warszawskim, więc nie tylko z opowieści innych, ale też z rodzinnego doświadczenia mam świadomość, co się działo w tamtych czasach. Gdy na lewym brzegu Wisły trwało Powstanie Warszawskie, na prawym, po stronie praskiej, powstawały pierwsze katownie NKWD. Żołnierze AK byli wyłapywani, przesłuchiwani, mordowani. Tak narodziła się na przykład Strzelecka 8 – jeden z budynków przekształconych na areszt. Mam zresztą podejrzenia, że tak mógł zginąć mój dziadek, który w dniu Powstania nie dotarł na miejsce zbiórki, ślad po nim zaginął, a widziany był po raz ostatni właśnie w rejonie zajętym przez Sowietów. Natomiast mój tata po powrocie z niewoli niemieckiej był wielokrotnie przesłuchiwany

eprasa.pl e015ce267c

i prześladowany przez UB – taki był los Wyklętych Patriotów.

– Jak odnosi się Pan do pojawiających się w przestrzeni publicznej zarzutów, jakoby żołnierze podziemia niepodległościowego dopuszczali się zbrodni na cywilach?

J.P.: – Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że po 1945 roku historię pisali przez tworzenie akt, stawianie zarzutów czy wydawanie wyroków komunistyczni zbrodniarze: prokuratorzy, sędziowie, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Fabrykowano dowody, przypisywano patriotom wszystko, co się da – tak skazano i zamordowano sanitariuszkę „Inkę" i tysiące innych osób.

Innym powodem było traktowanie agentów UB jako cywilów przez władzę komunistyczną. Agentów biorących udział w zbrodniach, na których były wykonywane wyroki przez Żołnierzy Wyklętych. Tutaj dobrym przykładem jest „Bury", który ze swoimi ludźmi rozbił oddział NKWD, a potem w zdobycznych mundurach przeszedł przez wioski zamieszkałe przez prosowiecką ludność białoruską. W ten sposób ujawnili się miejscowi agenci, oferując pomoc w zwalczaniu Polaków i chwaląc się swoimi zasługami. „Bury" kazał ich rozstrzelać. To były trudne, ale uzasadnione decyzje likwidacji komunistycznych i sowieckich zbrodniarzy.

– Często pojawia się pytanie: dlaczego oni po prostu nie wyszli z lasu, by spróbować normalnie żyć w nowej rzeczywistości? Co sprawiało, że kontynuowali tę „beznadziejną" walkę?

J.P.: – Przede wszystkim ich położenie było beznadziejne. Ujawnianie się nie zapewniało im i ich rodzinom bezpieczeństwa. Często kończyło się zamknięciem w specjalnym obozie, w areszcie, przesłuchaniami, torturami oraz śmiercią. Nierzadko ceną spokoju było obciążenie swoich kolegów fałszywymi zeznaniami. Doskonałym przykładem jest historia Henryka Flame „Bartka". Jego oddziały w obliczu beznadziejnej walki były skłonne złożyć broń i przedostać się na Zachód. Urząd Bezpieczeństwa podstawił agenta, byłego partyzanta, który poszedł na współpracę z komunistycznymi służbami. Ten agent zaoferował możliwość przerzutu na Zachód. „Bartek" mu uwierzył i zgodził się. W ten sposób cały oddział, kilkadziesiąt osób, został zwabiony w pułapkę. W miejscu zbiórki, w nocy, czekając na obiecany transport, zostali wymordowani. Sam „Bartek", załamany takim obrotem spraw, ujawnił się rok później na mocy tzw. amnestii. Gdy poszedł do miejscowego baru coś zjeść, podszedł do niego miejscowy milicjant i na zlecenie UB zastrzelił go. Dlatego właśnie wielu Żołnierzy musiało walczyć do końca.

> ZAINTERESOWANIE NASZYM MUZEUM ROŚNIE Z MIESIĄCA NA MIESIĄC, RÓWNIEŻ ZE STRONY GOŚCI ZAGRANICZNYCH.

– Pomówmy jeszcze o współczesności muzeum – jak wygląda statystyka odwiedzin? Czy to miejsce przyciąga młodzież i czy odnotowują Państwo zainteresowanie ze strony gości zagranicznych?

A.G.: – Zainteresowanie naszym muzeum rośnie z miesiąca na miesiąc, również ze strony gości zagranicznych. To efekt zarówno wzmożonej działalności wystawienniczej muzeum, jak i szerokiej oferty kulturalnej. Muzeum cały czas się organizuje, czyli de facto jest w budowie, jednak nieprzerwanie przyjmuje zwiedzających. W ubiegłym roku odwiedziło nas ponad 17 tys. osób.

Ponieważ jesteśmy w budowie, zwiedzanie odbywa się wyłącznie z przewodnikiem i jest bezpłatne. Prowadzimy także zajęcia edukacyjne. Muzealny Dział Edukacji oferuje żywe lekcje historii, podczas których młodzież nie tylko zwiedza muzeum, ale również bierze czynny udział w warsztatach, pracuje w grupach, otrzymuje karty pracy.

– Na co odwiedzający zwracają szczególną uwagę podczas zwiedzania? Co w murach dawnego więzienia robi na ludziach największe wrażenie?

A.G.: – To oczywiście zależy od stopnia zainteresowania historią osób zwiedzających. Niewątpliwie najważniejszym eksponatem jest samo miejsce. Pozwala wejść zwiedzającym w autentyczną przestrzeń więzienia stalinowskiego, miejsca pamięci i kaźni. Zwiedzanie muzeum to możliwość dotknięcia historii, poznania losów konkretnych ludzi. Zderzenie z tym miejscem i jego historią jest niezwykle poruszające. To jak spotkanie z rzeczywistym świadkiem historii. Inaczej poznaje się historię na zwykłej lekcji w szkole, a inaczej w miejscu określonego zdarzenia i w konkretnym otoczeniu. Nie sposób przejść obojętnie wobec cierpienia tylu wspaniałych i niewinnych ludzi.

– 15 marca odbył się koncert „Niezłomni, Niepokorni, Wyklęci".

eprasa.pl e015ce267c

Jak wyglądała współpraca przy tym projekcie? Czy tu szczególne znaczenie dla Państwa ma międzypokoleniowa sztafeta w przekazie patriotycznym?

A.G.: – Takie wydarzenia organizowane w muzeum są dla nas kolejną, może czasami bardziej skuteczną, formą edukacji. Dzięki muzyce, pieśniom historia staje się bliska i łatwiej dociera do osób na co dzień niezainteresowanych poznawaniem dziejów swojego kraju. Dlatego bardzo się cieszę, że możemy gościć Stowarzyszenie Polonia Restituta z projektem pana Jacka Perłowskiego „Niezłomni, Niepokorni, Wyklęci". Pieśni śpiewane przez żołnierzy podziemia antykomunistycznego powinny być nam znane i bliskie.

J.P.: – Koncert pod tą nazwą prezentowaliśmy już trzeci raz. Cieszymy się i jesteśmy wdzięczni, że pani dyrektor zgodziła się gościć nas w tym roku w murach Muzeum Żołnierzy Wyklętych przy Rakowieckiej. Jest to specjalne miejsce. Zaangażowaliśmy w ten projekt wielkich patriotów, wspaniałych muzyków z dużym doświadczeniem, takich jak Janusz Powolny, Patrycja Grecka i Anna Kuczok, natomiast wśród solistów rzeczywiście występuje sztafeta pokoleń. Z jednej strony to był bardzo doświadczony tenor Piotr Rafałko, a z drugiej Kinga Kusion – młoda, uzdolniona solistka, tegoroczna maturzystka i najmłodszy artysta Błażej Grzegorczyk – uzdolniony młody człowiek, wokalny filar w naszym Stowarzyszeniu, uczeń ósmej klasy szkoły podstawowej oraz szkoły muzycznej II stopnia. Błażej jest bardzo świadomym patriotą, pomaga mi prowadzić lekcje historyczne na temat Powstania Warszawskiego i Żołnierzy Wyklętych, a w tym roku, razem ze mną, w historycznym mundurze, brał udział w uroczystościach na Łączce i pod Grobem Nieznanego Żołnierza upamiętniających Żołnierzy Wyklętych. Tak wygląda nasza patriotyczna sztafeta pokoleń.

– W trakcie wydarzenia można było zobaczyć portrety Żołnierzy Niezłomnych namalowane przez Piotra Rafałkę. Jak ocenia Pani rolę sztuki w upamiętnianiu martyrologii w tak surowym miejscu jak Rakowiecka?

A.G.: – To nie jest pierwsze tego typu wydarzenie w naszym muzeum. Mieliśmy już wystawy łączące sztukę plastyczną z wystawą historyczną. Pokazywaliśmy prace wybitnego malarza Jana Lebensteina, poruszające reliefy i grafiki Marii Hiszpańskiej-Neumann, obrazy Ignacego Czwartosa czy instalacje Jerzego Kaliny. 10 grudnia zeszłego roku na wystawie pt. „Ślady, których miało nie być" swoje prace zainspirowane historią Rakowieckiej zaprezentowali studenci Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Wystawy spotkały się z bardzo dobrym odbiorem. To ważne, by wspaniałą, czasami bolesną historię opowiadać z należytym szacunkiem poprzez sztukę.

NAJWAŻNIEJSZYM EKSPONATEM W MUZEUM JEST SAMO MIEJSCE. POZWALA WEJŚĆ ZWIEDZAJĄCYM W AUTENTYCZNĄ PRZESTRZEŃ WIĘZIENIA STALINOWSKIEGO.

– Jakie są najbliższe plany działalności muzeum w zakresie nowych ekspozycji? Czy jest coś, czym placówka zaskoczy zwiedzających?

A.G.: – Właśnie otworzyliśmy kolejną niezwykle ciekawą wystawę czasową, tym razem poświęconą Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość". Wystawa powstała przy współpracy z IPN i Muzeum Armii Krajowej w Krakowie. 1 marca miała również premierę kolejna sztuka teatralna oparta na historii ofiar Rakowieckiej pt. „Ulica Wolności. Rzecz o Łukaszu Cieplińskim" w reżyserii Leszka Zdunia. Mamy oczywiście plany kolejnych wystaw czasowych, ale najważniejszym projektem jest stworzenie wystawy stałej muzeum. Intensywnie nad tym pracujemy. Zapraszam do śledzenia naszej strony internetowej oraz profili muzeum w mediach społecznościowych, na których na bieżąco informujemy o tym, co się dzieje w muzeum.

Adrianna Garnik – działaczka społeczna. Od 2010 r. założycielka i prezes Fundacji „Tożsamość i Solidarność", współzałożycielka stowarzyszenia „Solidarni 2010". Od 2017 r. należy do Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy Oddziale IPN w Gdańsku. W latach 2022–2023 dyrektor Biura Prezesa IPN. Od listopada 2023 r. dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie.

Jacek Perłowski – syn Powstańca Warszawskiego, prezes Stowarzyszenia Historycznego Polonia Restituta, od 12 lat przewodniczący zgromadzenia publicznego podczas happeningu historycznego „Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego" odbywającego się w godzinę „W" na Placu Zamkowym, działacz społeczny organizujący koncerty patriotyczne oraz wydarzenia historyczne.

eprasa.pl e015ce267c

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **24 MARCA** zdarzyło się:

1999 – początek nalotów NATO na obiekty w Jugosławii w celu ochrony albańskiej ludności Kosowa (operacja „Allied Force”);

2024 – inwazja Rosji na Ukrainę: rosyjska rakieta manewrująca naruszyła polską przestrzeń powietrzną i przebywała w niej przez 39 sekund.

ZESŁANIEC z królewską koroną w kieszeni

1 lipca 1892 r. dwudziestokilkuletni mężczyzna, który ostatnie pięć lat spędził na zesłaniu, idąc z wileńskiego dworca kolejowego, postanowił odwiedzić przyjaciela, którego od dawna nie widział. Gdy ten otworzył drzwi, były skazaniec przywitał się z nim, mówiąc: „Jak się masz, Zygmusiu?!”. Przyjaciel przyjrzał się obcemu mężczyźnie i oznajmił z wileńska: „Ja pana nie przypominam, czy nie ma pan pomyłki?”. Młodzieniec zrozumiał, o co chodzi, i odrzekł: „Pomyłki nie mam, ale wiedzę, że trzeba się przedstawić, jestem **Józef Piłsudski**”.

Sebastian Reńca

W niedzielne południe, 13 marca 1887 r., Pachomij Andriejuszkin przechadzał się Newskim Prospektem w towarzystwie pięciu rówieśników. Chodzili od Placu Admiralicji do gmachu Biblioteki Publicznej. Petersburscy policyjni agenci od razu zwrócili na niego uwagę, ponieważ – po pierwsze – był im znany jako podejrzany o „zbrodniczą” działalność, a po drugie – widzieli go w tym samym miejscu dzień wcześniej.

Syn Kozaka kubańskiego i student Uniwersytetu Petersburskiego został zatrzymany niedaleko budynku admiralicji. W czasie przeszukania znaleziono u niego bombę. Takie same ładunki mieli koledzy Andriejuszkina: Wasilij Gienerałowa oraz Wasilij Osipanow. W przypadku tego ostatniego bomba była ukryta w... książce. W siedzibie Ochrany Osipanow rzucił nią o podłogę, za co został zrugany przez stojącego przy nim komisarza: „Co to za rzucanie książkami?!”. Dopiero kilka sekund później policjant zorientował się, że niewiele brakowało, by już nie żył.

Pozostała trójka aresztowanych miała za zadanie dać sygnał zamachowcom, że zbliża się carski powóz. Tego dnia Aleksander III miał przejeżdżać z pałacu do Twierdzy Pietropawłowskiej na nabożeństwo żałobne.

Funkcjonariusze Ochrany zaczęli przesłuchiwać spiskowców na życie cara. Rozpoczęły się kolejne aresztowania, nie tylko w Petersburgu, ale również w Wilnie...

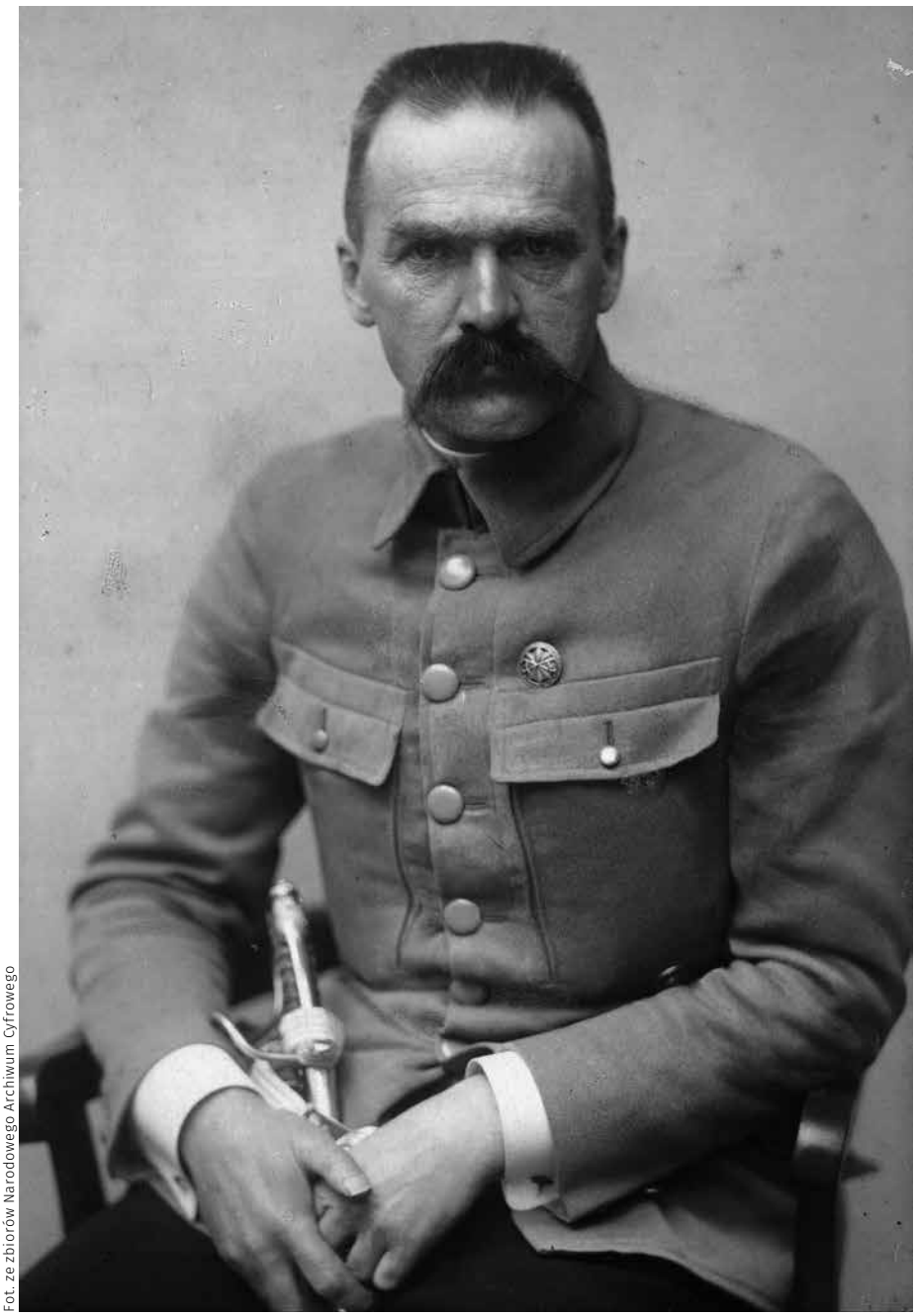
DWUDZIESTOLETNI JÓZEF PIŁSUDSKI BYŁ ŚWIADKIEM W PROCESIE KONSPIRATORÓW Z FRAKCJI TERRORYSTYCZNEJ NARODNEJ WOLI.

Aresztowanie i proces

Już 22 marca został aresztowany Józef, a w dziesięć dni później naczelnik urzędu żandarmskiego pokwitował jego odbiór w Petersburgu. Wiele lat później Marszałek wspominał tamten dzień. „Przyszedłem właśnie do Tytusa Paszkowskiego, aby go ostrzec przed aresztowaniem, gdy nagle otoczyli mnie żandarmi, gospodarujący już w jego mieszkaniu. Odprowadzony natychmiast do więzienia zobaczyłem się następny raz z rodziną i bliskimi dopiero w pięć i pół lat później”.

Dwudziestoletni Józef Piłsudski był świadkiem w procesie konspiratorów z Frakcji Terrorystycznej Narodnej Woli, który ruszył już z końcem kwietnia. Stanisław „Cat” Mackiewicz napisał, że przyszły Marszałek zeznawał „w sposób przemyślany i ostrożny”. Dowodem na to jest na przykład moment, w którym przewodniczący sądu pytał młodszego z Piłsudskich (w procesie jednym z oskarżonych był też jego starszy brat Bronisław) o dwóch spiskowców: Michała Kanczera i Oresta Goworuchina, którzy

eprasa.pl e015ce267c



Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

na początku roku byli w Wilnie.

„– Kanczer mieszkał u pana przez dwa dni i pan oczywiście musiał zwracać się do niego. Jak go pan nazywał? – zapytał sędzia.

– Po prostu „pan" – odparł Piłsudski.

– Nawet imię jego było panu nieznane?

– Tak – stwierdził lakonicznie Józef.

– Czy pan tym nie zainteresował się i nie spytał, jak to się zwykle czyni?

– Kiedy Rosjanie mówią ze sobą i zwracają się po imieniu ojca [otczestwo], wówczas pytają, ale ja nigdy nie zwracałem się po imieniu i imieniu ojca.

– Przecież Kanczer mówił z panem po rosyjsku?

– Tak.

– Czy wiedział, że pan nazywa się Józef?

– Tego nie wiem".

Bracia Piłsudscy nie mieli pojęcia o przygotowywanym zamachu na cara i ich pomoc udzielona spiskowcom była nieświadoma. Pomimo tego Bronisław został skazany na 15 lat katorgi i zesłany na Syberię. Jeżeli chodzi o Józefa, to „po starannym śledztwie władze rosyjskie doszły do wniosku, że nie mają dowodu, aby brał on udział w próbie zamachu na cara. Został więc z oskarżenia wyłączony i przed sądem stanął jedynie jako świadek. Brak dowodów nie powstrzymał jednak Ochrany od potępienia młodego człowieka. Skorzystano z istniejącego ustawodawstwa, które pozwalało skazać na Sybir każdego obywatela, a właściwie «poddanego», bez wyroku sądowego. Na mocy tego prawa Józef Piłsudski został skazany dekretem ministra sprawiedliwości z dnia 8 kwietnia 1887 r. «w drodze administracyjnej» na pięć lat pobytu we wschodnim Sybirze" – pisał Mieczysław Lepecki w pracy o pobycie Piłsudskiego na Syberii.

W uzasadnieniu zarządzenia administracyjnego napisano, że „charakter współdziałania, okazany przez Józefa Piłsudskiego obwinionym: Kanczerowi i Goworuchinowi dla zorganizowania im w Wilnie spotkania z obwinionym Gnatowskim, wysłanie przez niego depeszy, mówiącej w słowach umówionych o wyjeździe z Wilna Goworuchina, który potem uciekł za granicę, a następnie znalezienie u niego rękopisów treści rewolucyjnej – daje świadectwo przestępczego nastawienia, nie pozostawiając wątpliwości, że Józef Piłsudski działa świadomie w interesach rewolucyjnego spisku".

W drodze na Sybir

Miał rację „Cat" Mackiewicz, pisząc w swym „Kluczu do Piłsudskiego",

eprasa.pl e015ce267c

że takie rosyjskie słowa jak Sybir, katorga, turma i zsyłka „weszły do języka polskiego, aby dźwięczeć ponuro".

Przed wyruszeniem na zesłanie Józef napisał list do ojca, nadał mu formę poematu będącego apelem do rówieśników, w którym m.in. pisał:

„Niech więc mój przykład, me złamane życie,
Mój los – niech
zbudzi w nich
to przekonanie,
Że nic nie zrobim,
gdy działając
skrycie,
Zechcemy myśl
swą rzucić
w wykonanie".

Józef najpierw trafił do osławionego moskiewskiego więzienia na Butyrkach. Tam spotkał m.in. rosyjskiego rewolucjonistę Włodzimierza Burcewa, który po latach wspominał, że siedzieli w jednej celi razem z kilkunastu innymi więźniami. Młodziutki Piłsudski, jak i inni, brał udział w gotowaniu obiadów czy sprzątaniu celi.

To stamtąd 25 maja wyruszyła grupa około 60 więźniów na Syberię. W połowie października więźniowie pieszo, koleją, barkami, statkiem dotarli do Irkucka, gdzie tamtejszy gubernator wyznaczył Piłsudskiemu jako miejsce osiedlenia Kireńsk nad rzeką Leną. W irkuckim więzieniu przyszło Piłsudskiemu czekać na transport do Leny. Tam też doszło do incydentu, w którym przyszły Naczelnik Polski stracił dwa zęby. Więźniowie stanęli w obronie kolegi.

„Żołnierze, jak wściekłe wilki, rzucili się ku nam z podniesionymi karabinami. Byliśmy skupieni w kącie między piecem i ścianą, ja stałem w pierwszych szeregach. Podniosłem oczy, nade mną była kolba karabinowa. Odsunąłem ją ręką, kolba ześliznęła się po czole, lecz w tej chwili otrzymałem kolejne uderzenie kolbą po drugiej stronie głowy, potem drugie, trzecie... Krew zalała mi oczy, zachwiałem się na nogach, w głowie mi się zakręciło... Upadłem".

Gdy Piłsudski się ocknął, pobiegł pod bramę więzienną, tam jeden z żołnierzy uderzył go kolbą w twarz, wybijając mu zęby. „Krew z nosa i ust buchnęła mi na twarz i odzienie. Oburzyło do widocznie podoficera" – pisał po latach Piłsudski. Żołnierz niezdarnie próbował zetrzeć krew z twarzy pobitego. Podoficer zrugał szeregowca, który teraz pomógł Piłsudskiemu się podnieść i go poprowadził, mówiąc:

– No, „warnaczku" [pogardliwa nazwa zesłańców brzmiała po rosyjsku „warnak" – przyp. aut.], idź! Widzisz! Nie buntuj się! Osłabłeś, biedaku!

Tydzień później Józef Piłsudski i inni zesłańcy ruszyli saniami do Kiereńska. „Wleczono nas dziesięć dni" – wspominał po latach Piłsudski. Do Kiereńska dotarli 23 grudnia 1887 r. Młody zesłaniec ruszył w podróż osiem miesięcy wcześniej.

BRACIA PIŁSUDSCY NIE MIELI POJĘCIA O PRZYGOTOWYWANYM ZAMACHU NA CARA I ICH POMOC UDZIELONA SPISKOWCOM BYŁA NIEŚWIADOMA. POMIMO TEGO BRONISŁAW ZOSTAŁ SKAZANY NA 15 LAT KATORGI I ZESŁANY NA SYBERIĘ.

Carem będziesz!

„Tu zaczęło się monotonne życie zesłańca, pozostającego pod jawnym nadzorem policji. Piłsudski miał swobodę dość znaczną, widywał sporo ludzi, wśród nich Polaków, wspaniała przyroda syberyjska wywarła na nim ogromne wrażenie. Mógł włóczyć się po tajdze, pływać po Lenie, robić, co chciał, gdyż władze policyjne mało interesowały się zesłańcami. O ucieczce w tych warunkach nie było mowy i osiedleńcy urządzali sobie swe monotonne życie, jak mogli, w najprymitywniejszych warunkach" – pisali Wacław Jędrzejewicz i Janusz Cisek w „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego".

Po latach Marszałek opowiedział swemu adiutantowi o pewnej Cygance. Przypomniał sobie o niej w momencie, w którym późną nocą skrzypnęło w starej szafie.

– Opowiem wam o wróżbie, którą usłyszałem w czasie zesłania na Sybirze – zaczął Piłsudski. – Poszedłem pewnego razu do nędznej jurty, w której przebywała Cyganka trudniąca się wróżbiarstwem, zamawianiem i leczeniem. Zachciało się popatrzeć w przyszłość. „Powróż, babo!" – rzekłem. Cyganka nie dała się prosić. Coś tam mruczała, skrzeczała i wreszcie ujęła mnie za rękę. Gdy jednak spojrzała na dłoń, twarz się jej wykrzywiła strachem czy też zdziwieniem. Krzyknęła tylko: „Cariom budiesz!" i uciekła.

Innym razem Józef Piłsudski opowiedział o polowaniu, w którym wziął udział z trzema towarzyszami.

eprasa.pl e015ce267c

Myśliwym marzyło się „zdobyć trochę mięsa do ich chudych zup". „Król myśliwych", jak nazywano pewnego Sybiraka z Zakutaja, wziął zesłańców z sobą do tajgi. Najlepszym strzelcem wśród Polaków był Michał Mancewicz. Jego Sybirak postawił w miejscu, gdzie mogła iść koza.

– Mnie postawił w takim miejscu, dokąd zwierz miał przybiegnąć tylko w tym wypadku, gdy na pierwszym stanowisku padnie strzał. Poustawiał nas wszystkich. Zaczęliśmy czekać. Przykre było to oczekiwanie na mrozie.

Zamiast na Mancewicza to na Piłsudskiego wyszedł kozioł z rogami. Józef strzelił.

– Przy ściślejszym obejrzeniu zdobyczy okazało się, że mój kozioł jest... kozą. Zdrętwiałem. Jak to, koza z rogiem? Tak jednak było w istocie. Na łbie sterczał jej jeden róg z kilku odgałęzieniami. Najbardziej zdziwiony, a nawet przestraszony, był „król myśliwych". A nuż jest w tym coś „nieczystego"? Stanęło jednak na tym, że jest to tylko figiel natury. Po długiej naradzie zdecydowaliśmy, że skórę tej kozy trzeba wypchać i przesłać do muzeum w Irkucku. Tak też zrobiliśmy.

Człowiek z twarzą koloru ziemi

Latem 1890 r. Piłsudski za zgodą władz mógł przenieść się do Tunki, gdzie panował łagodniejszy klimat. Tam spędzi kolejne dwa i pół roku zesłania, które – jak pisał w latach 80. Waldemar Łysiak w „Calendarium Komendanta": „Chociaż nie lekkie, było i tak sanatorium w porównaniu z makabrycznymi warunkami zesłań w Rosji radzieckiej i z obozami koncentracyjnymi funkcjonującymi do dziś w ZSRR".

Jeden z tamtejszych zesłańców Stefan Juszczyński wspominał w roku 1931: Piłsudski „był najmłodszy z nas wszystkich [...]. Był bardzo chudy i wątły, trochę przygarbiony, piersi miał wpadnięte, ciągle kaszlał". Z czasem jednak, dzięki łagodniejszemu klimatowi, zdrowie Józefa zaczęło się poprawiać. Nabrał też krzepy dzięki polowaniom, a co za tym idzie – częstym wyprawom. Poza tym trzeba było również pracować fizycznie, chociażby piłować i rąbać drzewo na opał, nie tylko dla siebie, ale również na sprzedaż, by było za co żyć.

Piłsudski jednak wciąż martwił się tym, że w każdej chwili władze mogą mu zwiększyć wyrok. W jednym z listów z początku 1891 r. pisał: „Staram się o tym nie myśleć, staram się mieć nadzieję na prędki powrót do kraju... Doprawdy gotów jestem obiecać Matce Boskiej Ostrobramskiej funtową świecę, gdy zdarzy się podobny wypadek".

W innym liście, pisanym w kwietniu, podkreślał, że „za rok od dnia dzisiejszego będę może już swobodnym od opieki policji...". Dodawał, że cierpi z powodu bolących zębów, a poza tym od rana do wieczora poluje.

Jedna z jego ówczesnych znajomych Lidia Łojko wspominała, że nieraz w gronie przyjaciół mówiła, iż Piłsudski jest „szlachcicem mającym królewską koronę w swej kieszeni". Dodawała przy tym, że zapamiętała go jako ogromnego patriotę polskiego i „zajadłego nacjonalistę, nienawidzącego Rosji i Rosjan, z entuzjazmem mówiącego o Polsce i walce o wolność".

Wolność przyszła 20 kwietnia 1892 r., kiedy to Piłsudskiemu kończyło się pięcioletnie zesłanie. Jednak dopiero nieco ponad miesiąc później – 24 maja – młody zesłaniec mógł opuścić Irkuck. Wspólnie z kilkunastu innymi zesłańcami Piłsudski ruszył w drogę do Wilna, w którym znalazł się w pierwszym dniu lipca.

Pociąg, którym podróżował, wjechał na stację kolejową o godzinie 9. Idąc z dworca, wstąpił do swego przyjaciela Zygmunta Nagrodzkiego, który mając przed sobą mężczyznę o twarzy „koloru nie bardzo czystej ziemi" z długą brodą i wąsami, bez dwóch przednich zębów, go po prostu nie poznał.

Wkrótce po powrocie do swego ukochanego miasta Józef Piłsudski od razu wszedł na drogę, która w końcu miała doprowadzić jego kraj do niepodległości. Pomimo permanentnej obserwacji przez carską policję nawiązał kontakt z socjalistami. Wtedy poznał również kobietę, w której się zakochał i która miała zostać jego pierwszą żoną. W tej samej Marii z Koplewskich Juszkiewiczowej kochał się również człowiek, który dokonał innych wyborów politycznych – Roman Dmowski.

„POWRÓŻ, BABO!" – RZEKŁ PIŁSUDSKI. CYGANKA NIE DAŁA SIĘ PROSIĆ. COŚ TAM MRUCZAŁA, SKRZECZAŁA I WRESZCIE UJĘŁA GO ZA RĘKĘ. GDY JEDNAK SPOJRZAŁA NA DŁOŃ, TWARZ SIĘ JEJ WYKRZYWIŁA STRACHEM CZY TEŻ ZDZIWIENIEM. KRZYKNĘŁA TYLKO: „CARIOM BUDIESZ!" I UCIEKŁA.

eprasa.pl e015ce267c

Toksyczny Jezus z kompleksem BOGA

Wyobraźmy sobie Sąd Ostateczny. Tylko z odwróconymi rolami. Zamiast Chrystusa na tronie zasiada **trybunał złożony z nastolatków**. W dłoniach mają smartfony, w głowach – poczucie moralnej słuszności. Na ławie oskarżonych siada sam Bóg.

Patryk Stanik



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e015ce267c

Brzmi jak herezja. Albo scenariusz kabaretu.

Tymczasem to zapis rzeczywistości. Obraz wyłaniający się z najnowszych badań nad duchowością młodego pokolenia. Badacze brytyjskiego ośrodka Youthscape Centre for Research oddali surowy tekst biblijny w ręce czterdziestoro nastolatków (14–18 lat), by sprawdzić, jak pokolenie wychowane w epoce postsekularnej, zanurzone w kulturze terapeutycznej i wyczulone na dynamikę władzy, odczyta starożytne narracje.

Podejrzenia i intuicje

Raport nosi wymowny tytuł „Troubling Jesus" („Kłopotliwy Jezus"). Towarzyszy mu pięcioodcinkowa seria podcastów, których tytuły – takie jak „The Non-Consenting Jonah" czy „Mansplaining to the Woman at the Well" – mówią same za siebie. Młodzi ludzie czytają Biblię przez pryzmat współczesnych pojęć: consent (zgoda), mansplaining (protekcjonalne tłumaczenie), cancel culture (kultura unieważniania) oraz mindset (nastawienie psychiczne). W tym ujęciu biblijne historie o zbawieniu i łasce stają się opowieściami o nadużyciu władzy lub – w najlepszym razie – o samorozwoju.

Wyniki są głęboko ambiwalentne. Z jednej strony otrzymujemy potężną dawkę „hermeneutyki podejrzeń", w której Jezus i Bóg Ojciec stają się figurami opresyjnymi. Z drugiej – i to jest bodaj najciekawsze odkrycie raportu – w tych samych grupach, często w odpowiedzi na najbardziej radykalne tezy rówieśników, pojawiają się intuicje teologiczne uderzająco bliskie dogmatyce chrześcijańskiej.

Jezus z kompleksem Boga

Weźmy spotkanie przy studni. Samarytanka i Jezus. Przez dwa tysiąclecia Kościół widział w tej scenie triumf miłosierdzia. Przełamywanie barier etnicznych. Obietnicę wody żywej.

A co widzi pokolenie Alfa?

„Jezus wydaje się niemal protekcjonalny, kiedy ogłasza, że jest Mesjaszem [...]. To też dziwna rozmowa: podchodzi do ciebie jakiś przypadkowy facet, obraża cię, wypominając, ilu miałaś mężów, a potem streszcza ci twoje życie. Gdybym była tą Samarytanką, po prostu bym odeszła" – mówi czternastoletnia Freya.

Siedemnastoletnia Ant dodaje: „Wygląda na to, że on uprawia mansplaining... i ma w pewnym sensie kompleks Boga. [...] W końcu mówi jej wszystko, czego mogłaby pragnąć, co jest dobre, bo tłumaczy jej świat [...]".

Dalej robi się ciekawiej. Historia Jonasza: uciekinier połknięty przez wielką rybę. Dla nas to opowieść o Stwórcy, który nie rezygnuje z człowieka, który zrezygnował z Niego. Dla współczesnego czternastolatka to przykład przemocy. Toksyczna relacja. Bóg jawi się jako bezwzględny autokrata, który „jest naprawdę brutalny i agresywny". Jonasz przecież nie wyraził zgody na swoją misję. Został zmuszony. Zastraszony.

Chrześcijaństwo oparte na takiej dynamice musi być – zdaniem młodych czytelników – zbudowane na strachu. Zgoda stanowi fundament ich świata. Bóg ignorujący ten fundament zasługuje na potępienie.

„[Bóg] mógłby sprawić, by [Jonasz] zrozumiał, dlaczego musi to zrobić, zamiast wrzucać go do wieloryba!" – zauważa szesnastoletnia Jude, nie bacząc na to, że dopiero Bóg kierujący naszymi myślami byłby totalitarnym tyranem. Nie ma miejsca na prawdziwą, suwerennie wyrażoną zgodę w świecie, w którym człowiek jest sterowany przez Stwórcę. Jonasz sam musi zrozumieć opowieść, w której bierze udział.

Naiwniak wśród cwaniaków

Zacheusz. Celnik wchodzący na sykomorę wcale nie przeżywa w ich oczach nawrócenia. To sprytny polityk albo cwany influencer. Robi tani chwyt PR-owy, żeby zyskać przychylność tłumu. Odda połowę majątku. Jasne. Słowa nic nie kosztują.

A Jezus jest po prostu naiwny. Daje się nabrać na fałszywe łzy oszusta. „To sugeruje, że On jest łatwowierny i myśli, że każdy ma zdolność do zmiany" – mówi czternastoletnia Tasha.

W świecie cancel culture, gdzie błędy z przeszłości ciągną się za człowiekiem jak cyfrowy cień, nagłe przebaczenie wydaje się podejrzane. Ktoś wybaczający tak łatwo musi być głupcem.

Ale Tasha ma też dobrą intuicję: Jezus rzeczywiście myśli, że każdy ma zdolność do zmiany. W innym miejscu, komentując zdradę Piotra, czternastoletnia Naomi powie: „Znaczenie tej historii dla mnie jest takie, że bez względu na to, co się

ZAMIAST WYZWOLICIELA MŁODZI WIDZĄ PROTEKCJONALNEGO MĘDRCA WYKORZYSTUJĄCEGO PRZEWAGĘ PŁCI I STATUSU. JEZUS UPRAWIA MANSPLAINING.

eprasa.pl e015ce267c

stanie lub co zrobisz, Jezus zawsze ci wybaczy".

Uwierz w siebie, będziesz w Niebie

Z kolei historia paralityka spuszczonego przez dach traci nadprzyrodzony wymiar. Cud schodzi na dalszy plan. Głównym bohaterem staje się sam chory. Musiał po prostu zmienić swój „mindset", swoje nastawienie psychiczne. Grzech i paraliż to w interpretacji nastolatków zaledwie metafory niskiej samooceny. Braku sprawczości. Wystarczyło uwierzyć w siebie i zignorować tłum. Ewangelia zamienia się w poradnik samorozwoju. Uzdrowienie to kwestia odpowiedniej terapii. Jezus gra tu rolę coacha rzucającego motywacyjne hasła.

Nawet relacja Piotra i Jezusa zostaje odarta z sacrum. Piotr zapiera się Mistrza. Potem spotyka Go nad jeziorem. Młodzi nie widzą tu triumfu łaski, a zranionego, Jezusa-atencjusza, testującego nielojalnego znajomego. Przebaczenie wymaga czasu. Trzeba to przegadać. Przepracować. Piotr musi udowodnić zmianę. Łaska darmo dana nie mieści się w ich słowniku.

Teologia terapeutyczna

Warto tu przypomnieć wnioski z wcześniejszego raportu tej serii badań i publikacji zatytułowanego „Feel Good News" („Wiadomości dobrego samopoczucia"). Badacze przepytali tysiąc nastolatków. Okazało się, że idea potężnego, kochającego Boga zsyłającego pokój jest im bliska. Ale na myśl o Bogu cierpiącym, bezbronnym, domagającym się osobistej przemiany – reagowali oporem. Bóg jako kosmiczna siła wspierająca dobre samopoczucie zyskał aprobatę. Bóg wcielony, wkraczający w historię z żądaniem zmiany życia – spotkał się z odrzuceniem lub niezrozumieniem.

> MŁODZI POTRZEBUJĄ ZDERZYĆ SIĘ Z „NIEPOKOJĄCYM JEZUSEM", BO TYLKO TAKI JEZUS JEST W STANIE ODPOWIEDZIEĆ NA GŁĘBOKIE PĘKNIĘCIA W ICH WŁASNYM ŚWIECIE.

Publicyści brytyjskiego „Spectatora" zdążyli już obwinić o ten stan rzeczy ideologię woke, Michela Foucaulta i powszechny upadek autorytetów. Mają sporo racji. Młodzi ludzie czytają Biblię przez pryzmat jedynej teologii, jaką znają. Teologii terapeutycznej. W ich świecie najwyższym dobrem jest bezpieczeństwo emocjonalne. Największym grzechem – naruszenie czyichś granic. Wszelka władza jest z natury podejrzana. Jeśli ktoś mówi ci, jak masz żyć, z pewnością stosuje opresję.

Ale potępianie nastolatków byłoby błędem. Oni nie są cyniczni – interpretują świat według szablonu, jaki znają: o nieustannym monitorowaniu własnych emocji oraz o ciągłej podejrzliwości związanej z dynamiką władzy.

Cancel culture a wybaczanie

Krzyż nie mieści się też w logice kultury unieważniania („cancel culture"), w której żaden tweet nie ma przedawnienia, jakby był zbrodnią przeciw ludzkości. Jezus każe wybaczać nie siedem, a siedemdziesiąt siedem razy. Oferuje łaskę tam, gdzie należałaby się surowa kara. Bóg Biblii faktycznie ingeruje w ludzkie życie. Przekracza nasze granice – narusza strefę komfortu. Żąda rzeczy niemożliwych.

Raport Youthscape to w gruncie rzeczy dar dla chrześcijaństwa. Zmusza do porzucenia utartych frazesów. Młodzi ludzie, odrzucając również lukrowaną wersję religii, paradoksalnie dotykają sedna. Gdy pozwoli im się na swobodną, nieskrępowaną szkolnymi schematami interakcję z tekstem, potrafią przebić się przez własny sceptycyzm. Odkrywają wtedy w Ewangeliach Boga, który ma prawo nadawać tożsamość, Jezusa, który ratuje człowieka w jego najgorszym momencie, oraz łaskę, która objawia się nawet w przygotowanym na brzegu posiłku dla zdrajcy.

Jak konkludują autorzy raportu: młodzi ludzie nie potrzebują ugrzecznionej wersji Biblii. Potrzebują zderzyć się z „niepokojącym Jezusem", bo tylko taki Jezus jest w stanie odpowiedzieć na głębokie pęknięcia w ich własnym świecie.

Gdyby Bóg był tylko yes-menem, nie miałby do zaoferowania niczego poza echem naszych własnych głosów. Kościół nie powinien przepraszać za to, że Jezus bywa trudny do zniesienia. Zamiast tego powinniśmy z odwagą pokazać, że Jego rzekoma arogancja to w rzeczywistości suwerenność Stwórcy. A to, co biorą za brak poszanowania granic, jest miłością niecofającą się przed niczym, by wyrwać człowieka z otchłani. My wszyscy potrzebujemy ratunku. Nawet jeśli na początku bierzemy Zbawiciela za aroganckiego intruza.

Autor dziękuje dr Gemmie Madle z Youthscape Centre for Research za użyczenie pełnej wersji raportu.

eprasa.pl e015ce267c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Bauman wzorem NKWD

81 lat temu, 26 marca 1945 r., władze komunistyczne powołały Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wzorowane na Wojskach Wewnętrznych NKWD oddziały KBW były elementem aparatu terroru biorącego udział w zwalczaniu podziemia niepodległościowego. Funkcjonariuszem tej zbrodniczej formacji był późniejszy profesor Zygmunt Bauman. Czy dzisiejsza (post) komuna im też przyzna przywileje emerytalne?

Kuźnią kadr dla KBW był powstający razem z 1. Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki Polski Samodzielny Batalion Specjalny pod dowództwem płk. Henryka Toruńczyka. Ten przedwojenny działacz KPP, w wojnie domowej w Hiszpanii walczący po stronie bolszewików, zaczął w 1943 r. organizować jednostkę do zwalczania Armii Krajowej i innych formacji antykomunistycznych. Między majem a wrześniem 1944 r. za front przerzucono dwanaście grup liczących 296 bojówkarzy. W lipcu 1944 r. Batalion został podporządkowany tworzącemu się resortowi bezpieczeństwa wewnętrznego PKWN.

Formacja powstawała na wzór wojsk wewnętrznych NKWD. Pierwszym jej zadaniem miała być ochrona tworzących się struktur komunistycznej administracji. Ta nowa bezpieka była elitarna, przyjmowano do niej jedynie „wyrobionych politycznie" kandydatów, przede wszystkim członków PPR czy organizacji młodzieżowych.

26 marca 1945 r. Rząd Tymczasowy polecił ministrowi bezpieczeństwa publicznego Stanisławowi Radkiewiczowi sformować Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W latach 1945–1948 r., a więc okresie najbardziej intensywnej walki z podziemiem antykomunistycznym, KBW przeprowadził niemal 33 tys. akcji i operacji. Według oficjalnych danych zginęło 585 funkcjonariuszy tej formacji, 1200 zostało rannych.

Funkcjonariuszem KBW (także politrukiem ludowego Wojska Polskiego oraz agentem Informacji Wojskowej) był Zygmunt Bauman. W dokumencie z 1950 r., kiedy dostał awans w tej zbrodniczej formacji, czytamy: „Jako szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego [...] bierze udział w walce z bandami [polskim podziemiem niepodległościowym]. Przez 20 dni dowodził grupą, która wyróżniła się schwytaniem wielkiej ilości bandytów. Odznaczony Krzyżem Walecznych".

Czyli Bauman nie tylko „uświadamiał" żołnierzy w duchu zbrodniczego stalinizmu, ale osobiście zwalczał „bandy" (można spytać, co było gorsze: hodowanie morderców czy własny udział?).

I to jest właśnie powód, dla którego ten major KBW powinien był być ścigany. Jednak wymiar sprawiedliwości III RP nie sprawdził, za co naprawdę Bauman dostał Krzyż Walecznych. Czy „tylko" za to, że jako dowódca wydawał rozkazy walki z „bandami", czy może sam do „bandytów" strzelał? Zresztą każdy z tych przypadków jest przez polskie prawo kwalifikowany jako zbrodnia komunistyczna, która nie ulega przedawnieniu.

W 1965 r. KBW uległ rozwiązaniu. Część oddziałów stała się elementem Wojsk Obrony Terytorialnej Kraju, pozostałe przekształcono w Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe MSW, rozwiązane w 2002 r. Zygmunt Bauman zmarł 7 stycznia 2017 r. w brytyjskim Leeds, gdzie wyemigrował po 1968 r. Zmarł nieosądzony.

eprasa.pl e015ce267c

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

PROTEST GŁODOWY w „Solino”

Czterech pracowników zatrudnionych w inowrocławskiej spółce „Solino”, należącej do Grupy Orlen, rozpoczęło w niedzielę, 15 marca, protest głodowy. To członkowie NSZZ „Solidarność”, którzy zdecydowali się na taki krok, ponieważ nie godzą się na „dalsze demontowanie kompleksu sodowo-solnego, który stanowi zaplecze dla bezpieczeństwa energetycznego państwa”.

W piśmie do premiera Donalda Tuska i ministra energii Miłosza Motyki protestujący przedstawili łącznie sześć postulatów. Prowadzący głodówkę zażądali, aby Skarb Państwa przejął kontrolę nad strategicznymi aktywami firmy Qemetica związanymi z produkcją sody, soli oraz budową i utrzymaniem systemów magazynowych.

Chcieliby, aby rząd przygotował program zagospodarowania złóż Łanięta, Lubień i Damasławek, a także wykorzystał je pod budowę magazynów kawernowych dla gazu, paliw, ropy i innych nośników energii, w tym wodoru.

Do realizacji tych zadań, a także innych, jak budowa warzelni soli, związkowcy zaproponowali powołanie osobnej spółki celowej.

„Solino” to największy producent solanki w Polsce. Firma odgrywa bardzo ważną rolę w zapewnianiu bezpieczeństwa energetycznego kraju, ponieważ posiada podziemne magazyny, w których przechowywane są ropa oraz paliwa.

W przesłanym naszej redakcji oświadczeniu Zarząd Inowrocławskich Kopalń Soli „Solino” przekazał, że protest „został wszczęty bez jakichkolwiek mediacji i wcześniejszych rozmów i jest prowadzony przez 4 osoby, spośród ponad 250 zatrudnionych reprezentujących jeden z pięciu związków zawodowych”.



Fot. arch. „TS”

„Protest nie wpływa na bieżące funkcjonowanie spółki ani realizację zadań operacyjnych – pozostali pracownicy wykonują swoje obowiązki zgodnie z planem. Spółka pozostaje w bieżącym i konstruktywnym dialogu ze stroną społeczną” – przekazały władze firmy.

„Zarząd oraz Rada Nadzorcza «Solino» prowadzą dialog z reprezentacją organiza-

eprasa.pl e015ce267c


Fot. autor

„Tamten czas pokazał, że ludzie umieją się jednoczyć. Cieszę się, że rocznicę tamtych czasów obchodzimy razem z wojewodą, prezydentem Bydgoszczy i marszałkiem województwa. Mimo podziałów w naszym województwie umiemy się jednoczyć. Dziękuję za to”.

Sebastian Gawronek, szef bydgoskiej „S”, portal bydgoszczinformuje.pl, 16 marca br.

cji zrzeszających około 80 procent uzwiązkowionych pracowników” – dodano.

Spółka poinformowała również, że pozostałe cztery organizacje związkowe podpisały 9 marca porozumienie płacowe gwarantujące pracownikom podwyżki i dodatkowe benefity.

„«Solino» SA działa w sposób odpowiedzialny, zapewniając ciągłość pracy infrastruktury o znaczeniu strategicznym oraz stabilne warunki zatrudnienia, pozostając otwartą na dialog prowadzony w ramach obowiązujących procedur” – zapewnił w oświadczeniu Zarząd.

Z głodującymi spotkali się do tej pory przedstawiciele prezydenta RP – minister Mateusz Kotecki oraz doradca Sławomir Mazurek.

Pełne wsparcie dla prowadzonego w Solino protestu głodowego wyraziło Prezydium Zarządu Regionu Toruńsko-Włocławskiego NSZZ „Solidarność” na czele z przewodniczącym Tomaszem Jeziorkiem, który zadeklarował, że „Solidarność nie pozostawi pracowników samych”.

„TRZEBA SIĘ BARDZIEJ URUCHOMIĆ”

Blisko 100 delegatów i przewodniczących komisji zakładowych Regionu Podlaskiego NSZZ „S” spotkało się 13 marca w Białymstoku. Zebranie otworzył przewodniczący podlaskich struktur Solidarności.

Józef Mozolewski podsumował w swoim wystąpieniu obecną działalność Regionu i w sposób szczególny podziękował tym organizacjom, które przyciągnęły najwięcej nowych osób do Solidarności. W tym punkcie wyróżnił kolegów i koleżanki z Izby Administracji Skarbowej, Uniwersyteckiego Dziecięcego Szpitala Klinicznego, Służby Więziennej oraz firmy Adampol.

W spotkaniu uczestniczył także wiceprzewodniczący Komisji Krajowej Bartłomiej Mickiewicz, który przybliżył podlaskim związkowcom stanowisko, jakie Solidarność zajmuje w sprawie unijnej polityki klimatycznej, a także jak prowadzony jest dzisiaj dialog społeczny z rządem premiera Tuska. Zastępca Piotra Dudy zachęcał też związkowców do większego zaangażowania, chociażby w internecie.

– Rozmawialiśmy o tym, co dziś jest naprawdę potrzebne, żeby Związek działał skutecznie. Mówiłem jasno: trzeba się bardziej uruchomić. Potrzebna jest obecność na szkoleniach, aktywność w mediach społecznościowych i udział w akcjach protestacyjnych. Dziś bez zaangażowania nie da się prowadzić skutecznej działalności związkowej – skomentował przewodniczący Mickiewicz.

FORUM MŁODYCH

Za niecały miesiąc ruszy w Spale „Forum Młodych”. Spotkanie przyjmie formułę warsztatową połączoną z terenową grą strategiczną pod nazwą „Szkoła Protestu”, która pozwoli uczestnikom zdobyć wiedzę i umiejętności potrzebne do planowania, organizowania i prowadzenia działań protestacyjnych.

W trakcie warsztatów i gry terenowej młodzi działacze będą pracować w zespołach nad projektowaniem manifestacji – od określenia celu protestu, przez strategię komunikacji i mobilizacji uczestników, po kwestie organizacyjne i logistyczne.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

25.03.1977 – powstaje ROPCiO – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, druga po KOR jawnie działająca antypeerelowska organizacja opozycyjna;

27.03.1981 – odbywa się czterogodzinny strajk ostrzegawczy obejmujący całą Polskę. Ludzie domagają się wyjaśnień w sprawie pobicia trzech działaczy związkowych w Bydgoszczy. Solidarność grozi strajkiem generalnym;

30.03.1981 – podpisane zostaje porozumienie pomiędzy Solidarnością a władzami PRL, które kończy „kryzys bydgoski”. Planowany na 31 marca strajk generalny zostaje odwołany. Rząd zobowiązał się wyjaśnić sprawę pobicia związkowców, ukarać winnych i wydać zgodę na rejestrację rolniczej „S”;

25.03.1982 – Służba Więzienna z Zakładu Karnego w Iławie dopuszcza się pobicia internowanych w nim osób.

eprasa.pl e015ce267c

„Europa nie może pozostawać naiwna”

– Europa nie potrzebuje tępego protekcjonizmu – potrzebuje natomiast strategicznych, sprawiedliwych i opartych na wzajemności środków handlowych. Rzeczywistość jest taka, że zasady wolnego handlu nie są już globalnie przestrzegane. Stany Zjednoczone stosują ogromne dotacje i zasady „local contentu”. Chiny realizują strategię przemysłową kierowaną przez państwo. Europa nie może pozostawać naiwna – mówi **Judith Kirton-Darling**, sekretarz generalna industriAll Europe, w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.



Fot. Tygodnik Solidarność

eprasa.pl e015ce267c

– Ostatnio dużo się mówi o tym, jak zreformować system ETS. Co Pani zdaniem powinno się zmienić, aby pomóc sektorowi przemysłowemu? Czy korytarz cenowy dla certyfikatów emisyjnych to dobre rozwiązanie?

– Brak polityki mającej na celu ograniczenie emisji uwięziłby Europę w gospodarce niezgodnej z naszymi międzynarodowymi zobowiązaniami w zakresie przeciwdziałania zmianom klimatycznym, a ponadto w niebezpieczny sposób uzależniłby Europę od paliw kopalnych, które są importowane na ogromną skalę, w tym z regionów narażonych na wojny i niestabilność geopolityczną. Jednak źle zaprojektowana polityka klimatyczna może również prowadzić do deindustrializacji i likwidacji miejsc pracy w części naszego przemysłu. Dlatego uważamy, że system ETS wymaga przebudowy, tak aby stał się częścią spójnej polityki przemysłowej.

ETS musi w większym stopniu zapewniać przewidywalność, ochronę przed ucieczką emisji oraz wsparcie dla przełomowych inwestycji. Na przykład dochody z aukcji powinny w większym stopniu wspierać inwestycje, które sprawią, że transformacja przemysłu będzie realistyczna i sprawiedliwa dla pracowników. Opowiadamy się również za silniejszym wsparciem dla krajów stojących przed szczególnymi wyzwaniami ze względu na swoją historię i miks energetyczny – takich jak Polska.

Takie narzędzia jak korytarz cenowy – gwarantujący minimalną i maksymalną cenę – zasługują na poważne rozważenie, ponieważ stanowią odpowiedź na nadmierną zmienność spowodowaną spekulacjami finansowymi. Inne rynki emisji dwutlenku węgla [ang. carbon markets] już stosują podobne narzędzia w celu stabilizacji sygnałów inwestycyjnych. Nie popieramy natomiast żadnej reformy, która zamieniłaby system ETS w dojną krowę lub naraziłaby pracowników. Wszelkie zmiany muszą wpisać się w szerszą strategię przemysłową, która realizuje ogólny cel neutralności klimatycznej, przyspiesza rozwój czystych technologii, wzmacnia konkurencyjność i chroni dobre miejsca pracy.

– Całkiem niedawno Unia Europejska przyjęła nowy cel klimatyczny. Do 2040 roku emisja gazów cieplarnianych ma zostać zredukowana o 90 procent. Sądzi Pani, że Unia posuwa się za daleko i działa zbyt szybko?

– Działanie w celu stawienia czoła kryzysowi klimatycznemu jest konieczne – to nie podlega dyskusji. Liczy się to, jak zamierzamy to osiągnąć. Same cele nie zmniejszą emisji – ale inwestycje, planowanie i sprawiedliwość już tak. Ograniczenie emisji o 90 procent do 2040 roku jest możliwe do osiągnięcia, jeśli Europa zbuduje solidne zabezpieczenia dla pracowników, zapewni dostępną cenowo czystą energię oraz napędzi globalną współpracę tak, aby Europa nie dekarbonizowała się w izolacji.

– Co sądzi Pani o zaproponowanym przez Komisję Europejską tzw. Industrial Accelerator Act [Unijnym Akceleratorze Przemysłowym]? Czy jest on wystarczająco ambitny, by zatrzymać lub odwrócić deindustrializację Europy?

– Zaproponowany Unijny Akcelerator Przemysłowy stanowi krok we właściwym kierunku, ponieważ w końcu uznaje on, że Europa potrzebuje zwiększenia popytu na europejskie technologie niskoemisyjne oraz potrzebuje wzmocnić swoją strategiczną bazę przemysłową. Nacisk na wzmocnienie łańcuchów wartości w sektorach hutniczym, cementowym, aluminiowym, motoryzacyjnym oraz technologii bezemisyjnych odzwierciedla dokładnie to, o co apelowały związki zawodowe.

PRACOWNICY POPRĄ AMBICJE KLIMATYCZNE – ALE TYLKO WTEDY, GDY DOSTRZEGĄ W NICH BEZPIECZEŃSTWO, INWESTYCJE I PRZYSZŁOŚĆ.

Naszym głównym zmartwieniem nie jest poziom ambicji, ale wiarygodność i sprawiedliwość obranej ścieżki. Bez odpowiednich ram sprawiedliwej transformacji, bez wiążących wymogów dla firm i rządów, by negocjować plany transformacji z pracownikami, bez silnego i skutecznego wymiaru spójności oraz bez zabezpieczeń przed nieuczciwą globalną konkurencją – poparcie dla agendy klimatycznej ulegnie rozpadowi. Populiści już wykorzystują tę lukę. Pracownicy poprą ambicje klimatyczne – ale tylko wtedy, gdy dostrzegą w nich bezpieczeństwo, inwestycje i przyszłość.

Powiedzmy sobie jasno: to wciąż za mało, by odwrócić proces deindustrializacji. Europa próbuje nadrobić zaległości. Stany Zjednoczone wprowadziły ogromne wsparcie dla przemysłu. Chiny od dawna działają w oparciu o planowanie wspierane przez państwo [ang. state-backed planning]. Europa musi teraz dorównać tej

eprasa.pl e015ce267c

skali i pewności. Oznacza to znacznie większe inwestycje, prostsze zezwolenia, sprawiedliwe warunki dla inwestorów zagranicznych oraz mocniejsze kryteria pracownicze i społeczne, aby zapewnić, że polityka ta przełoży się na wysokiej jakości miejsca pracy w całej Europie.

Jeśli Europa poważnie podchodzi do reindustrializacji, ten Akcelerator musi stać się fundamentem znacznie bardziej ambitnego Paktu dla czystego przemysłu [ang. Clean Industrial Deal].

– Jakie gałęzie przemysłu są dzisiaj najbardziej podatne na zwolnienia i spadek mocy produkcyjnych?

– Ta podatność jest powszechna i pogarsza się w całym krajobrazie przemysłowym Europy. Niedawna ocena łańcucha wartości pokazuje, że 17 z 18 głównych sektorów przemysłowych nie jest już konkurencyjnych w skali globalnej, a jedynie sektor lotniczy/obronny nadal znajduje się w dobrej kondycji.

Do najbardziej narażonych należą sektory hutnictwa, przemysłu chemicznego, motoryzacyjny, metali nieszlachetnych, cementowy, szklarski i papierniczy – branże, które są zarówno energochłonne, jak i w dużym stopniu uzależnione od handlu międzynarodowego.

Restrukturyzacja zachodzi w całym łańcuchu wartości. Wysokie ceny energii, niski popyt, zastój inwestycyjny i globalna nadwyżka mocy produkcyjnych – zwłaszcza ze strony Stanów Zjednoczonych i Chin – wywierają ogromną presję na zakłady produkcyjne, a z tym wiąże się zwiększone ryzyko zwolnień. Nie jest to nieuniknione; jest to wynik wyborów politycznych i korporacyjnych. Jeśli jednak Europa nie podejmie szybko działań w ramach ambitnej polityki przemysłowej i programu inwestycyjnego, będziemy świadkami dalszej erozji mocy produkcyjnych.

> WYSOKIE CENY ENERGII, NISKI POPYT, ZASTÓJ INWESTYCYJNY I GLOBALNA NADWYŻKA MOCY PRODUKCYJNYCH WYWIERAJĄ OGROMNĄ PRESJĘ NA ZAKŁADY PRODUKCYJNE.

– Prezydent USA stosuje dziś politykę protekcjonizmu gospodarczego. Czy Europa również powinna wprowadzić cła w strategicznych sektorach? Jak powinniśmy chronić nasze branże: chemiczną, stalową i motoryzacyjną?

– Europa nie potrzebuje tępego protekcjonizmu – potrzebuje natomiast strategicznych, sprawiedliwych i opartych na wzajemności środków handlowych. Rzeczywistość jest taka, że zasady wolnego handlu nie są już globalnie przestrzegane. Stany Zjednoczone stosują ogromne dotacje i zasady „local contentu". Chiny realizują strategię przemysłową kierowaną przez państwo. Europa nie może pozostawać naiwna.

Aby chronić sektory takie jak chemiczny, stalowy i motoryzacyjny, potrzebujemy kilku rzeczy.

Po pierwsze, silnego i egzekwowalnego mechanizmu dostosowania cen na granicach z uwzględnieniem emisji dwutlenku węgla [ang. Carbon Border Adjustment Mechanism – CBAM], który zapobiegnie ucieczce emisji.

Po drugie, wzajemności w zamówieniach publicznych – dostęp do unijnego rynku musi iść w parze z dostępem do zagranicznych rynków dla europejskich firm.

Po trzecie, takich warunków dotyczących inwestycji zagranicznych, które przynoszą realną wartość – miejsca pracy, technologie, innowacje – a nie tylko czerpią z rynku.

Po czwarte, programu inwestycji przemysłowych, który zwiększy krajowe moce produkcyjne, dostępność energii i innowacyjność.

Po piąte, umiejętności i planowania siły roboczej tak, aby pracownicy byli częścią transformacji, a nie jej ofiarami.

> EUROPA MUSI POZOSTAĆ OTWARTA, ALE NIE OTWARTA NA EKSPLOATACJĘ.

To nie jest protekcjonizm – to autonomia strategiczna. Europa musi pozostać otwarta, ale nie otwarta na eksploatację.

Judith Kirton-Darling, sekretarz generalna industriAll Europe – federacji demokratycznych związków zawodowych reprezentujących pracowników przemysłu. W przeszłości była posłanką do Parlamentu Europejskiego z ramienia brytyjskiej Partii Pracy, a także pełniła funkcję sekretarza konfederalnego Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych.

eprasa.pl e015ce267c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Piramida Tuska

Jakiś czas temu amerykańska administracja opublikowała tzw. nową piramidę żywienia, co odbiło się szerokim echem na całym świecie. Tymczasem w Polsce premier Donald Tusk, w warunkach tzw. demokracji walczącej, stworzył rzecz godną pozazdroszczenia – nową hierarchię aktów prawnych.

12 marca prezydent Karol Nawrocki wygłosił orędzie do narodu, w którym poinformował o zawetowaniu ustawy dot. Programu SAFE oraz o powodach takiej decyzji. Już wcześniej było wiadomo, że rząd szykuje „plan B". I faktycznie – dzień później Rada Ministrów przyjęła uchwałę, która upoważnia ministrów obrony i finansów do podpisania umowy dot. Programu SAFE. I już. Proste, prawda?

Sejm wybrał też niedawno sześcioro sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Chociaż nie wiadomo, co w tej sprawie zrobi prezydent – niewykluczone, że nie odbierze od nich ślubowania – to już słychać, że gdyby tak się stało, to rząd – a jakże – ma również przygotowany „plan B".

To tylko dwa głośne przykłady z ostatnich tygodni. Tyle że „rządzenie" (celowo biorę to słowo w cudzysłów) za pomocą „planu B" trwa de facto od grudnia 2023 roku, gdy bez żadnej podstawy prawnej, nielegalnie i siłowo przejęto Telewizję Polską.

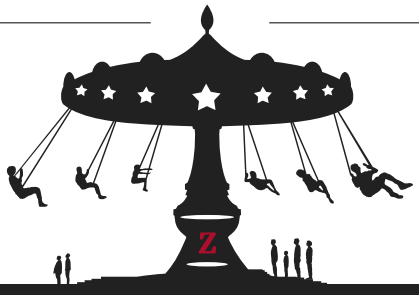
Mamy więc sytuację niejako bezprecedensową. Nie było jeszcze ekipy, która w tak bezczelny sposób łamała, omijała lub ignorowała obowiązujące prawo. Za rządów Zjednoczonej Prawicy można się było śmiać z ekspresu legislacyjnego czy nocnych posiedzeń, ale ustawy najpierw przechodziły przez parlament, a następnie podpisywał je prezydent. A teraz? Nie mamy większości dla przyjęcia ustawy? Przyjmiemy uchwałę. Prezydent musi się na coś zgodzić? Udamy, że tego nie ma i zastosujemy metodę faktów dokonanych.

Zapewne doskonale pamiętają Państwo słowa byłego ministra sprawiedliwości (!) Adama Bodnara, który z rozbrajającą szczerością mówił o „szukaniu podstawy prawnej", albo Donalda Tuska, który wprost stwierdził, że nie zamierza przestrzegać prawa, jeśli mu ono przeszkadza. W efekcie w Polsce wytworzył się nowy porządek prawny. U podstawy jest więc „wola polityczna" Donalda Tuska. Następnie mamy uchwałę Sejmu lub ewentualnie Rady Ministrów. Dalej robi się już nieco trudniej, bo mamy tu kilka równorzędnych „aktów prawnych" – konferencje prasowe, opinie prawne, paski TVN24 czy wpisy w mediach społecznościowych.

Opisany mechanizm, choć kuriozalny, jest jednak szalenie niebezpieczny. Rządy Donalda Tuska coraz częściej przypominają eksperyment polegający na testowaniu granic wytrzymałości konstytucyjnych mechanizmów państwa. To jawne odwrócenie logiki państwa prawa. Na ironię zakrawa fakt, że robią to ci, którzy tyle gardłowali o „praworządności" i paradowali po ulicach w koszulkach z napisem „Konstytucja". Czy to zaskakujące? Ani trochę.

eprasa.pl e015ce267c

KARUZELA BLOGERAMI



SEAMAN

WETO DLA UNIJNEGO PLANU NA POLSKĘ

Trzeba było położyć kres temu przekrętowi, choć prezydenckie weto na razie jest raczej obnażeniem fałszu niż kresem awantury. Ten ruch był jednak skuteczny, co widać choćby po kolejnym sondażu rządowego CBOS, który wykazał zaskakująco duży wzrost przeciwników programu SAFE w ciągu kilku dni po decyzji prezydenta Karola Nawrockiego. Histeryczny aplauz dla tego kredytu, w Polsce pod patronatem „unijnych neobolszewików" okazał się więc mało skuteczny. Przewrotnym potwierdzeniem tej tendencji jest to, że w reakcji pojawiło się natychmiast badanie prywatnej pracowni z wynikiem odwrotnym – na korzyść zwolenników SAFE. Natomiast epitet o neobolszewikach z UE jest zasadny, gdyż ten kredyt nie jest programem pomocowym, lecz planem grabieży i unieszkodliwienia krnąbrnej Polski. Cel analogiczny, jak za komuny, metody inne, ale tylko patrzeć, gdy na agendzie rządu Donalda Tuska pojawi się zapis w konstytucji o wiecznej przyjaźni z Unią Europejską.

Unijny plan został zablokowany, są bowiem inne możliwości uzyskania środków na zbrojenia, co dobitnie wykazali prezydent Karol Nawrocki i prezes NBP Adam Glapiński. Czyż nie jest oczywiste, że lepiej zadłużać się w tej walucie, w której się zarabia, i w niej spłacać kredyt? Weto może więc – paradoksalnie wbrew zamysłom rządu – skierować się przeciwko rządowej narracji. Co zresztą wykazują wspomniane badania opinii.

Powody weta są liczne i wielokrotnie przedstawione, ale wystarczy sam mechanizm warunkowości. Kiedy sięgniemy do unijnego rozporządzenia o SAFE (2025/1106), które odwołuje się do rozporządzenia o warunkowości (2020/2092), a tam jest mowa o środkach podejmowanych w razie „naruszenia zasad państwa prawnego" – mechanizmu, na podstawie którego wstrzymano KPO dla Polski podczas rządów Zjednoczonej Prawicy. Jest tam nawet możliwość zażądania natychmiastowej spłaty całości kredytu! Wszystko to na zasadzie uznaniowej jakiegoś fagasa z Komisji Europejskiej. Mamy więc do czynienia z politycznym szwindlem. Trzeba upaść na głowę lub mieć złą wolę, żeby przyjąć SAFE w Polsce.

Jeśli przypatrzeć się kolejności zdarzeń, odmowie rozpatrzenia projektu prezydenta i kłamliwej narracji rządu, to nieuchronny jest wniosek, że premierowi absolutnie nie chodzi o pieniądze z UE na zbrojenia. Ten kredyt stał się jednym z wielu pretekstów służących wyłącznie do oskarżania opozycji o polexit, a nawet o zdradę. To z kolei ma być argumentem w wyborach parlamentarnych. Bo mamy na czele rządu takiego polityka, którego wyobraźnia kończy się na sondażu opinii, a umysłowy horyzont sięga tylko najbliższych wyborów. Im nie chodzi o Polskę, lecz o brukselsko-niemiecki interes, którego rzecznikiem stał się polski premier.

Podobno przeciwnicy tego kredytu są wrogami niepodległości Polski. Tako rzecze Donald Tusk i dodaje, że zakute łby jesteśmy. No, bo stawiamy na USA, a nie ufamy UE. Swoją drogą, namnożyło się w Europie tych zakutych łbów – osiem państw UE nie przystąpiło do SAFE. One też są wrogami własnej niepodległości? Słyszymy argument, że Amerykanie w ubiegłym wieku zawiedli nas w Jałcie, ale co w takim razie powiedzieć o Niemcach, którzy wówczas nasz kraj napadli, zrujnowali i wymordowali w okrutny sposób 6 mln obywateli? Przecież, zachowując proporcje, można śmiało napisać, że Niemcy są wrogami rodzaju ludzkiego. Zatem stawiamy na USA, bo mamy konkretne, historyczne doświadczenia. Amerykanie już dwukrotnie ratowali Europę przed Niemcami. Zatem historycznie mamy rację, na rozum mamy i na zdrowy rozsądek też mamy rację.

Na polską nieufność Unia tyrała w pocie czoła – Zielony Ład, ETS-y, warunkowość funduszy, odbieranie kompetencji państwom, propagowanie ideologicznych dewiacji, absurdalne regulacje, idiotyzm gender, OZE-sroze, TSUE-srue i wiele innych. Przystępowaliśmy do unii narodów, ale to okazało się wybiegiem, gdyż unijni neobolszewicy postanowili wskrzesić ideę sowieckiego kołchozu. Zatem prezydent Karol Nawrocki zawetował ten plan na Polskę w obawie o naszą suwerenność. Polacy zaznali „dobrodziejstwa" socjalistycznej utopii, niech więc Francuzi, Belgowie, Hiszpanie i kto tam jeszcze chętny poćwiczą kołchoz na własnych narodach... S

eprasa.pl e015ce267c

PRAWO

„Myślałem, że już jestem trzeźwy”, CZYLI JAZDA SAMOCHODEM NA KACU

Byłem na spotkaniu ze znajomymi, wypiłem kilka drinków, ale skończyliśmy około północy. Rano czułem się w miarę dobrze, więc wsiadłem do samochodu i pojechałem do pracy. Po drodze zatrzymała mnie policja do rutynowej kontroli. Okazało się, że mam ponad 0,2 promila alkoholu w organizmie. Byłem przekonany, że jestem już trzeźwy. Czy w takiej sytuacji grozi mi odpowiedzialność karna i czy ma znaczenie, że alkohol piłem **dzień wcześniej**?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W polskim prawie mniejsze znaczenie ma moment spożycia alkoholu, kluczowe natomiast jest jego stężenie w organizmie w chwili prowadzenia pojazdu mechanicznego. Odpowiedzialność prawna uzależniona jest od wyniku badania. Zgodnie z Kodeksem karnym stan nietrzeźwości zachodzi wówczas, gdy zawartość alkoholu we krwi przekracza 0,5‰ albo prowadzi do stężenia powyżej 0,25 mg alkoholu w 1 dm³ wydychanego powietrza. Natomiast stan po użyciu alkoholu, w rozumieniu Kodeksu wykroczeń, występuje, gdy stężenie alkoholu we krwi wynosi od 0,2‰ do 0,5‰ albo od 0,1 mg do 0,25 mg w 1 dm³ wydychanego powietrza. Rozróżnienie to ma zasadnicze znaczenie dla kwalifikacji prawnej czynu. Jeżeli kierujący znajduje się w stanie po użyciu alkoholu, ponosi odpowiedzialność za wykroczenie. Sankcją może być kara aresztu albo grzywny, a także obligatoryjny zakaz prowadzenia pojazdów. W praktyce sądy najczęściej orzekają zakaz prowadzenia pojazdów na okres od 6 miesięcy do 3 lat oraz grzywnę, której wysokość ustalana jest z uwzględnieniem dochodów i sytuacji majątkowej sprawcy.

Znacznie surowsze konsekwencje wiążą się ze stanem nietrzeźwości, który stanowi przestępstwo. Sprawcy grozi kara grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 3, obligatoryjny zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych (co do zasady na okres od 3 do 15 lat) oraz świadczenie pieniężne na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. W razie ponownego skazania za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości sankcje są zaostrzone, a sąd może orzec nawet dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów.

W praktyce wiele osób nie uwzględnia, że tzw. jazda na kacu również może oznaczać znajdowanie się w stanie po użyciu alkoholu albo w stanie nietrzeźwości. Tempo metabolizowania alkoholu jest kwestią indywidualną i zależy m.in. od masy ciała, płci, ilości oraz rodzaju spożytego alkoholu, czasu jego przyjmowania czy stanu zdrowia. Subiektywne przekonanie o trzeźwości nie ma znaczenia prawnego, decydujące znaczenie ma wyłącznie wynik badania. Warto również pamiętać, że policjant może zatrzymać prawo jazdy już na etapie kontroli drogowej, a dalsze konsekwencje rozstrzyga sąd. W określonych sytuacjach możliwe jest warunkowe umorzenie postępowania, jednak wymaga to spełnienia ustawowych przesłanek, w tym niekaralności sprawcy i niskiego stopnia społecznej szkodliwości czynu.

Podsumowując, przekonanie o własnej trzeźwości nie chroni przed odpowiedzialnością. Nawet jeśli alkohol był spożywany poprzedniego dnia, prowadzenie pojazdu przy stężeniu powyżej 0,2 promila może skutkować poważnymi konsekwencjami, od grzywny i utraty prawa jazdy po odpowiedzialność karną. W praktyce jedyną bezpieczną zasadą jest powstrzymanie się od prowadzenia pojazdu do czasu całkowitego wyeliminowania alkoholu z organizmu. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl e015ce267c

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Barbara Andrijanić (Fabryka..., s. 40), zajmuje się sztuką, kulturą i duchowością. Pisze ikony.

Monika Małkowska (Hodowla..., s. 10), jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Ludwik Pęzioł (Klimat..., s. 18), autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Sebastian Reńca (Zesłaniec..., s. 58), pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Wykidajło" ukazała się w roku 2025 (wydawnictwo Prozami). Jest to to historia pełna zwrotów akcji, w której wojna wdziera się wszędzie – w życie, sumienie i codzienność. Druga książka „Szuler", wydana w 2025 r. (wydawnictwo Arcana), to reportaż historyczny o „królu" Mojżeszu Merinie i jego poddanych żyjących w gettach Zagłębia Dąbrowskiego podczas niemieckiej okupacji.

Patryk Stanik (Toksyczny..., s. 62), specjalista od marketingu internetowego, nowych mediów oraz tematyki religijnej, przez lata związany z „Tygodnikiem Powszechnym", od 2025 r. pisze dla nas.

Mariusz Staniszewski (Zemsta..., s. 22), autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl e015ce267c

Kongres Pracy 2026

CZŁOWIEK NA PIERWSZYM MIEJSCU



Historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej

22 kwietnia 2026 godz. 12.30

Zarejestruj się na wydarzenie.
Liczba miejsc ograniczona

KPRP
Patronat Kancelarii Prezydenta RP

PATRON HONOROWY
NSZZ Solidarność

ORGANIZATOR
Fundacja Promocji Solidarności

PARTNER GŁÓWNY
NBP
NARODOWY BANK POLSKI

PARTNERZY
DOMS
DEKOM

PATRONI MEDIALNI
Tygodnik Solidarność
tysol.pl
Radio Gdańsk
trojmiasto.pl

eprasa.pl e015ce267c

Pekao TFI
Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych



Z NASZYM PPK WYNIKI ROBIĄ DUŻĄ RÓŻNICĘ

ALFA 2025

PPK Pekao TFI
otrzymało prestiżową nagrodę
Alfa 2025 Analiz Online
w kategorii „najlepsze fundusze PPK"

Chcesz zadbać o dobre PPK dla swoich pracowników?

Wybierz jedno z najlepiej ocenianych PPK w Polsce.

Klienci cenią nas za:

- ✓ **bardzo dobre wyniki inwestycyjne**
- ✓ **wsparcie na każdym etapie prowadzenia PPK**
- ✓ **niskie koszty**

Zapraszamy do kontaktu: ppk_info@pekaotfi.pl

Sprawdź nas! Więcej informacji na www.pekaotfi.pl

Alfa 2025 w kategorii „najlepsze fundusze PPK" jest przyznawana na podstawie najwyższej wartości hipotetycznego konta PPK za okres od początku funkcjonowania PPK do końca 2025 r. Źródło: www.analizy.pl

Informacja reklamowa. Inwestycja wiąże się z ryzykami opisanymi w dostępnym na www.pekaotfi.pl prospekcie informacyjnym Pekao PPK SFIO, z którym należy się zapoznać. Fundusz nie gwarantuje osiągnięcia zysku z inwestycji. Uczestnik może ponieść stratę przynajmniej części zainwestowanych środków. Historyczne wyniki inwestycyjne nie są gwarancją osiągnięcia podobnych w przyszłości. Pekao Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A. z siedzibą w Warszawie, ul. Żubra 1, 01-066 Warszawa, wpisana do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000016956, NIP: 521 11 82 650. Wysokość kapitału zakładowego i wpłaconego: 50 504 000 zł.

Marzec 2026

eprasa.pl e015ce267c